MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XI. Nr. 26. WARSZAWA, 31 MAJA 1931 R. CENA NUMERU 80 GR.

ZMIERZCH LOKARNIZMU

Naprzód fakty: ujawniona w czasie ostatniego, majowego zebrania Rady impotencja Ligi Narodów, klęska wyborcza p. Brianda, atak ogólny w Niemczech na p. Curtiusa.

Wbrew urzędowemu optymizmowi polskiemu, trzeba stwierdzić, że majowe zebranie Rady Ligi nie załatwiło żadnej z ważnych spraw, jakie były na porządku dziennym lub w komisjach. Kapitalną sprawę unji celnej austrjacko - niemieckiej odłożono, odsyłając ją do Trybunału haskiego, sprawy śląskie odroczono do września. Komitet trzech odłożył załatwienie skarg i petycyj ukraińskich... Jest jasne, że Liga jest bezsilna, gdy stanie wobec trudnych, skomplikowanych i drażliwych zagadnień, a zagadnień takich jest i będzie coraz więcej. Czyli, że zawodzi ona całkowicie, gdy chodzi o spełnienie zadań, wynikających z poważnych konfliktów międzynarodowych. Sprawa unji celnej będzie rozpatrywana w Hadze i tylko z punktu widzenia prawnego, wróci ona potem do Ligi, która będzie ją rozpatrywała z punktu widzenia politycznego — o ile Niemcy się na to zgodzą! Jeśli dojdzie przed wrześniowem posiedzeniem Ligi do porozumienia między Francją a Niemcami, to dobrze; jeśli zaś nie, to Liga stanie wobec zadania, którego rozwiązać nie będzie mogła, a więc wobec poważnego przesilenia wewnętrznego. Czyż jest ktokolwiek w Europie, kto przypuszcza, że Rada Ligi będzie mogła się wypowiedzieć w sposób zdecydowany za tezą niemiecką lub francuską? Rada jest miejscem i narzędziem kompromisu, jeśli kompromis jest niemożliwy — zawiedzie. Zebranie majowe wykazało kompletną impotencję Ligi, zebranie wrześniowe może się stać momentem przełomowym w jej istnieniu, może się zamienić dla niej w katastrofę.

Klęska wyborcza p. Brianda wynika w dużym stopniu z układu stosunków wewnętrznych Francji. Lecz choćby nawet przypuścić, że względy z dziedziny polityki międzynarodowej odegrały tu małą rolę, trzeba przyznać, że niepowodzenie ministra spraw zagranicznych przy wyborach prezydenta Republiki będzie miało daleko idące następstwa na terenie międzynarodowym. System polityczny, reprezentowany przez p. Brianda poniósł dotkliwą klęskę i choćby jego inicjator i przedstawiciel pozostał nawet w rządzie, to nie będzie on już miał ani tego *prestige*'u, ani tego poparcia w opinji, jakie miał dawniej. Zgodne świadectwa wszystkich osób, które były w ostatnich czasach we Francji, oraz to, co pisze prasa francuska, dowodzą, że w opinji nad Sekwaną dokonywa się poważne i głębokie przeobrażenie. Wierzono tam w możliwość porozumienia francusko-niemieckiego, sądzono, że na fundamentach, położonych w Locarno, da się zbudować nowy układ polityczny w Europie. Wiarę tę zachwiały zeszłoroczne wrześniowe wybory w Niemczech, zakończone niebywałem zwycięstwem Hitlera. Miałem możność stwierdzić, jak wielkie zrobiły one wrażenie na wszystkich Francuzach w czasie zeszłorocznego Zgromadzenia Ligi Narodów w Genewie. Jeszcze potężniej wpłynęła zapowiedź unji celnej austrjacko-niemieckiej. Zareagowała opinja, prasa, wreszcie parlament. Spostrzeżono we Francji, że równocześnie z deklaracjami lokarneńskiemi i mimo pojednawczej polityki Francji, wyrażającej się w ciągłych ustępstwach, Niemcy idą konsekwentnie do realizacji swego programu i wchodzą na drogę przedwojennych metod politycznych. Opinja publiczna we Francji zajęła tak zdecydowane stanowisko, że p. Briand musiał w Genewie powiedzieć jasno i wyraźnie — n i e!

Wreszcie w Niemczech: rząd deklaruje są tam nadal przy polityce lokarneńskiej, p. Curtius, towarzysz partyjny i uczeń ś. p. G. Stresemanna, stara się jej być wierny. Lecz w kraju zdobywają coraz silniejszą pozycję żywioły nacjonalistyczne, które domagają się zmiany systemu i metod, które sądzą, że nadchodzi chwila realizowania tego, do czego polityka lokarneńska miała być li tylko przygotowaniem. Pod naciskiem żywiołów narodowych zrobili pp. kanclerz Bruening i minister Curtius śmiały krok, zapowiadając unję celną z Austrją. Jest rzeczą wysoce wątpliwą, czy mogą się oni cofnąć z drogi, na którą weszli. Groziłoby to im utratą władzy, mogliby doprowadzić do upadku rządu obecnego. Zapowiedź unji celnej jest konsekwencją dotychczasowej polityki zagranicznej Niemiec (tej istotnej, a nie deklaratywnej), oraz

wewnętrznego przeobrażenia, wyrażającego się we wzroście wpływów obozu nacjonalistycznego.

Jeśli rozważyć przyczyny zaznaczonych powyżej faktów, trzeba dojść do wniosku, że fakty te świadczą o zmierzchu pierwszego powojennego okresu polityki międzynarodowej i zapowiadają okres nowy.

Po ciężkiej i długiej wojnie narody europejskie były wyczerpane i pragnęły za wszelką cenę spokoju. Przejęły się więc łatwo hasłami, głoszącemi, że nastał nowy okres w życiu ludzkości, że nie będzie już wojen, że narody będą żyły w zgodzie, że wszelkie między niemi spory będą mogły być załatwiane przez instytucję międzynarodową—Ligę Narodów. Głoszono tedy, że skończył się wiek równowagi politycznej, sojuszów i zbrojeń, że nadszedł okres braterstwa ludów i oparcia między niemi stosunków na normach prawa międzynarodowego.

Na tem tle powstała i rozwinęła się polityka lokarneńska, której fundamentem jest porozumienie francusko-niemieckie. W „porozumieniu" tem wszakże tkwiło od samego początku głębokie i zasadnicze „nieporozumienie". We Francji sądzono, że pakty lokarneńskie mają służyć do ustalenia powojennego *status quo* w Europie, że staną się one gwarancją nienaruszalności traktatów, że pokój wieczny, jaki zapanuje, będzie oparty na tych właśnie traktatach. W Niemczech natomiast patrzono na pakty lokarneńskie jako na środek, mający posłużyć do zwalenia traktatów, w pierwszej linji Traktatu Wersalskiego. Niemcy rozumieli, że wyrzekając się Alzacji i Lotaryngji, godząc się z Francją, uzyskają wzamian za to — albo zgodę Francji na rewizję układu terytorjalnego w Europie Wschodniej („*Anschluss*" i rozbiór Polski), albo też osiągną ewakuację Nadrenji i wolność zbrojeń, co da im do ręki to wszystko, co jest potrzebne do wymuszenia tą czy inną drogą — rewizji traktatów.

Choć Niemcy swych zamiarów wcale nie ukrywali, choć nie trudno było odgadnąć, że zamiary takie mieć muszą, bo wynikają one z natury rzeczy, to jednak we Francji łudzono się, a p. Briand swoją polityką zręczną i elastyczną umiał odsuwać konflikty i odkładać chwilę ujawnienia się zasadniczego nieporozumienia, wynikającego z różnic pojmowania paktów lokarneńskich w dwóch krajach. W nieskończoność wszakże odkładać tego nie było można, musiał przyjść moment uznania przez Niemcy, że pakty lokarneńskie już zadanie swoje spełniły, że można przystąpić do realizacji programu. Moment taki przyszedł z chwilą ewakuacji Nadrenji. Nie trzeba było być prorokiem, by przepowiedzieć, że następstwem wyjścia Francuzów z Moguncji będzie wysunięcie przez Niemcy jednego z postulatów ich zasadniczego programu. I stało się — zapowiedź unji celnej dowodzi, że na pierwszy ogień postanowiono w Berlinie wysunąć połączenie z Austrją.

Stoimy tedy wobec kryzysu Ligi Narodów i lokarnizmu, kryzysu całego systemu, na którym chciano oprzeć „nową" politykę europejską i światową, wbrew dotychczasowym doświadczeniom dziejowym i naturze ludzkiej. Kryzys ten musiał nastąpić, był zapisany w naturze rzeczy, był koniecznością historyczną. I nie może on już być zażegnany, może tylko być odroczony. Bo jedno z dwojga — albo Francja pójdzie jeszcze na jeden kompromis i pod jakiemiś pozorami zgodzi się na rzeczy, których następstwem będzie połączenie Austrji z Niemcami, albo też utrzyma w całej pełni swe stanowisko negatywne. W pierwszym wypadku kryzys będzie tylko odroczony do chwili, gdy Niemcy wysuną na porządek dzienny dalszy postulat — zapewne rewizję granicy polsko-niemieckiej. Wówczas już się nic odroczyć nie da, bo sprzeciwi się temu stanowcze *veto* Polski. Dojść wówczas może do katastrofy, bo czynnikiem, który nie dopuści do kompromisu, będą żywotne interesy Polski, kwestja jej bytu lub niebytu. W drugim wypadku, w razie stanowczego oporu Francji przeciw unji celnej austrjacko-niemieckiej, jako prologowi połączenia politycznego, będzie musiała Francja zastosować inne metody, przejść do innego systemu politycznego, niż ten, jakiego się trzymała dotychczas.

Stąd wynika, że klucz do sytuacji spoczywa we Francji. Wskazówką w jakim kierunku pójdzie polityka francuska będzie to, czy p. Briand wyciągnie konsekwencje ze swej porażki wyborczej, czy też nie. Jeżeli p. Briand zostanie u steru polityki zagranicznej Francji, to zapowiadać to będzie kompromis w sprawie unji celnej austrjacko-niemieckiej i odroczenie kryzysu na później, gdy Niemcy poczują się dość silne do wysunięcia postulatów dalszych. Zmiana na stanowisku ministra spraw zagranicznych we Francji byłaby zapowiedzią zwrotu w polityce francuskiej.

Patrzymy na zmierzch lokarnizmu. Zaciemnia się horyzont polityczny w Europie, a równocześnie tracą barwę świeżości złudzenia pacyfistyczne. Im prędzej sfery kierujące polityką europejską zrozumieją prawdy powyższe, tem łatwiej będzie utrzymać pokój. Bo skoro metody dotychczas stosowane zawodzą, trzeba jaknajprędzej chwycić się metod nowych, a właściwie — mówiąc ściśle — powrócić do dawnych, wypróbowanych w ciągu tysiącletniej historji ludzkości. Nie były one wprawdzie w możności dać światu pokoju wiecznego, lecz wielokrotnie zapewniały mu długotrwałe jego okresy.

STANISŁAW KOZICKI

LUDZIE BEZDOMNI

DOŚĆ dawno już temu, bo jeszcze przed wojną, przeglądając stos publikacyj, przysyłanych do redakcji, otworzyłem przypadkowo sprawozdanie roczne „Dolno-austrjackiego zakładu zakładu ubezpieczania bydła". Lektura nie była bardzo zajmująca, ale jedna cyfra uderzyła mnie odrazu: oto koszty administracyjne wynosiły około 50% sumy, wypłaconej właścicielom ubezpieczonego bydła w postaci premij za padłe sztuki. Innemi słowy właściciele obór płacić musieli rocznie co najmniej półtora raza tyle, ile warte było bydło, które w ciągu tego roku padło. Taka ekonomja nie bardzo oczywiście wydaje się racjonalną, to też przy sposobności poruszyłem tę sprawę w rozmowie z prof. Stanisławem Grabskim i dowiedziałem się od niego, iż istotnie nie jest to zjawisko wyjątkowe, że koszty wyjazdu inspektorów i taksatorów na miejsce, administracji centralnej i t. d. podrażają niepomiernie koszt ubezpieczenia. Od tych scentralizowanych zakładów ubezpieczeń korzystnie

odbija ubezpieczenie „sąsiedzkie“, jakie prof. Grabski miał sposobność poznać praktycznie na prowincji francuskiej, a które działa tam od XVII wieku. Polega poprostu na tem, że w razie padnięcia sztuki bydła u któregoś z gospodarzy, sąsiedzi, wiedzący, jak wiadomo, dobrze jak kto siedzi, kupują mu odpowiednią sztukę. Niema przytem oczywiście żadnych kosztów administracyjnych, czy inspekcyjnych, co najwyżej parę szklanek wina w gospodzie, a ponieważ instytucja pomocy sąsiedzkiej uświęcona jest odwiecznym zwyczajem, więc nie może być mowy o wyłamywaniu się z tego obowiązku. Chłop francuski umie, jak wiadomo, doskonale liczyć i nie nadpłaca przy ubezpieczaniu swego bydła ani centyma. Przyznam się, że ta rozmowa z profesorem zachwiała mocno podziw, jaki żywiłem dla nowoczesnych instytucyj samopomocy społecznej.

Bardzo niedawno, bo przed paru miesiącami przeczytałem w poważnym miesięczniku amerykańskim dłuższy artykuł, naszpikowany cyframi, a zatytułowany dość ostro: „Rozbój ubezpieczeniowy“. Nie będę wchodził tu w rozpatrywanie kwestji, czy tytuł ten jest uzasadniony, czy nie, przytoczę jednak kilka cyfr. Okazuje się, że w r. 1928 w kilkudziesięciu towarzystwach ubezpieczeń zebrano 270 miljonów dolarów wkładek od ubezpieczonych i za to wypłacono agentom, wmawiającym ludziom polisy—115 miljonów, czyli ponad 42 %. Suma wydatków badanych w ciągu tego roku towarzystw wyniosła okrągło 2202 miljony dol., lecz z tego wypłacono właścicielom polis tylko 1540 miljonów, a 662 miljony zabrała administracja, prowizje agentów, płace dyrektorów, dywidenda akcjonarjuszów. To znaczy, że z każdego dolara 30 centów poszło z kiesieni ubezpieczonych do kieszeni obcych, a tylko 70 wypłacono ubezpieczonym. Dodać zaraz trzeba, że płace dygnitarzy w towarzystwach ubezpieczeń w Ameryce, są znacznie wyższe, niż w olbrzymich tamtejszych przedsiębiorstwach przemysłowych: prezes tow. „*Metropolitan Life*“ pobierał w r. 1928 płacę w wysokości 200.000 dolarów, czyli 1.800.000 złotych rocznie, podczas gdy prezes olbrzymiego trustu naftowego „*Standard Oil*“ pobierał według zeznań w komisji senatu 125.000 dol. rocznie i był najlepiej płatnym funkcjonarjuszem w całym przemyśle naftowym. W dziale ubezpieczeń robotników przemysłowych okazało się, że w pomyślnym co do konjunktur roku 1928, z 72 miljonów polis robotniczych tylko 952.000 dojrzało do wypłaty, natomiast 1.760.000 zostało przez właścicieli skreślonych, oczywiście ze znaczną stratą wpłaconych wkładek, a 5.800.000 polis zostało wogóle unieważnionych wobec niepłacenia przez ubezpieczonych. W ten sposób na jedną osobę, która sumę ubezpieczeniową faktycznie otrzymała, jest ośm (kto był kiedykolwiek ubezpieczony, wie dobrze, ile kosztuje wycofanie) osób, które straciły albo znaczną część, albo też całość swych wkładek.

Każdy przyzna, że cyfry te są dość wymowne i dowodzą, że ten system ubezpieczeń jest faktycznie wielkiem marnotrawstwem.

Weźmy teraz przykład najbliższy. Jako skromny pracownik, żyjący z pióra, autor niniejszych wierszy należy oczywiście do kasy chorych. Zupełnie nieskomplikowany rachunek przekonał mnie, że wkładki na moje konto w tej instytucji wyniosły sumę, pozwalającą na przeprowadzenie paru kosztownych kuracyj; procenty od tej sumy przy dzisiejszej stopie pozwalałyby mi na wydawanie na leczenie około 50 zł. miesięcznie, co — każdy przyzna—byłoby nielada sybarytyzmem. Jednak nie mam oczywiście ani tego kapitału, ani nie korzystam z procentów, a gdy potrzebuję pomocy kasy, muszę stawać przed komisją, badającą, czy czasem nie jestem symulantem, planującym defraudację (własnych pieniędzy). Kuracja za moje własne pieniądze prowadzona jest przez lekarzy, może nawet bardzo dobrych, ale których ja, niestety, nie znam i nie mogę więc mieć do nich niezbędnego zaufania, a zdarza się nawet, że statut kasy nie pozwala na opłacanie pewnych kuracyj (np. zagranicą), mimo, że kuracje te są przez powagi naukowe z poza kasy polecone, nie tylko jako wskazane, lecz nawet jako jedyne coś warte. Może ktoś powiedzieć, że wzamian za to wywłaszczenie mam satysfakcję moralną przyczyniania się do pomocy lekarskiej innym. Niestety satysfakcja ta jest w znacznym stopniu zniszczona przez świadomość, że przedewszystkiem ogromna część moich niewykorzystanych wkładek idzie na administrację, na utrzymanie maszyny, pozatem zaś myślę sobie, że mnie nie stać na tak szeroką filantropję, która w dodatku przez nikogo uznana nie jest, bo przecież wszystkim się mówi, że jest to instytucja samopomocy, w której nikt nikomu nic nie zawdzięcza, a wszyscy wszystko tylko sobie. Bardzo byłbym rad, gdyby mnie ktoś mógł przekonać, że w szerokich masach ubezpieczonych w kasach chorych istnieje świadomość, że lepiej sytuowani wyświadczają uboższym od siebie przysługę należną bliźniemu.

Utyskiwania na nowoczesne systemy ubezpieczeń społecznych są dziś dość już głośne, uważałem jednak za konieczne przytoczenie powyższych kilku przykładów w celu unaocznienia, że mimo zastosowania najnowszych metod pracy, mimo oparcia na rachunku prawdopodobieństwa i t. p. luksusach, jakich dawne czasy nie znały, instytucje te są w gruncie rzeczy niezmiernie marnotrawne. Chłop francuski wynalazł w XVII wieku racjonalniejsze ubezpieczenie od pomoru bydła, niż matematycznie wykształceni kooperatyści w XX wieku. Czem jednak zastąpić inne ubezpieczenia? Jak je ulepszyć?

Istnieje instytucja, która od wieków i przez wieki wypełniała obowiązki wzajemnej pomocy między ludźmi, obchodząc się bez kosztów administracyjnych i wysokich płac urzędników, instytucja znana nam jeszcze dziś — rodzina. Ostatnie stulecie, wiek rewolucji przemysłowej, stwarzając odmienne warunki egzystencji, wędrówki ludów ze wsi do olbrzymich miast, płace stojące na granicy *minimum* życiowego, zatarło tę rolę rodziny. Jeżeli dziś zdarza się czytać w poważnych a postępowych miesięcznikach amerykańskich artykuły, zastanawiające się nad tem, czy rodzice się przydają na co, to można to jeszcze traktować jako wybryk swojego rodzaju barbarzyńskiego snobizmu, faktem jest jednak, że nowoczesne warunki życia osłabiają rolę rodziny z wielką moralną i materjalną szkodą ludzkości. Historyk lwowski prof. Stanisław Zakrzewski w swem studjum „Zagadnienia historyczne“, wydanem ćwierć wieku temu, wskazując na słabnącą spoistość społeczeństw europejskich, powiada, że dzisiejsze warunki robią z nas „ludzi bezdomnych“ w znaczeniu jeszcze szerszem, niż byli nimi bohaterzy powieści Żeromskiego i przeciwstawia naszym stosunkom Daleki Wschód, który wówczas właśnie, w walce Japonji z kolosem rosyj-

skim, dał Europie nieoczekiwane i zdumiewające widowisko prawie już dla nas niezrozumiałej siły więzi społecznej. Społeczeństwa europejskie wydały się wówczas patrzącym na skałę japońską poprostu sypkim piaskiem. Autor „Zagadnień historycznych“ przypisuje to żywemu jeszcze w tamtejszym świecie poczuciu rodu, które w Europie zanikło prawie zupełnie w bezdomności naszej epoki. Warto się zastanowić nad tem dziś, gdy bezdomność jeszcze bardziej wzrosła, niż ćwierć wieku temu, a konieczność wzmocnienia więzi społecznych i narodowych jest naglejsza niż kiedykolwiek.

Rodzina pozostaje dotychczas jeszcze najważniejszą, a nawet naprawdę jedyną instytucją, wyrabiającą w nas bezinteresowne uczucia i zasady altruistyczne, bez których społeczeństwo się nie ostoi, gdyby nawet, jak prawdopodobnie będzie w sowieckim „Magnetogorsku” na każdym rogu ulicy stała szubienica. Okres industrjalny, który tak wiele się przyczynił do rozluźniania społeczeństw, chyli się ku końcowi. Ludzkość musi wrócić do form życia prostszych, mniej „racjonalnych“, a bardziej naturalnych, oprzeć się znów na rodzinie i sąsiedztwie. Słyszy się często, że co umarło, nie wraca i „przeżytych kształtów żaden cud nie wróci do istnienia“. Historja przeczy temu, tak samo zresztą jak etymologja. Inaczej bowiem skądby się wzięło słowo „Odrodzenie“?, — słowo często sławione jako etap w postępie. Przecież „odrodzenie“ oznacza właśnie powołanie na powrót do życia czegoś, co było zamarło. Świadek dla ludzi t. zw. postępowych niepodejrzany, bo tow. Luśnia (Kelles-Krauz) napisał przed wielu laty zajmującą rozprawkę o „Retrospekcji socjologicznej“, w której wywodzi słusznie, że rozwój instytucyj społecznych nie idzie w linji prostej, lecz że można go sobie wyobrazić raczej jako linję spiralną, wznoszącą się do góry: po pewnym czasie znajdujemy się znów na tem samem miejscu, gdzieśmy byli dawniej, tylko na wyższym poziomie. To znaczy, że przekonawszy się o niedostateczności swych urządzeń, ludzkość wraca do skarbca przeszłości i czerpie stamtąd, wzbogacając oczywiście rzeczy dawne nabytem przez ten czas doświadczeniem. I to jest właśnie odrodzenie.

Miejmy więc nadzieję, że i dzisiejszy okres wzrastającej „bezdomności“ skończy się, ustępując miejsca wzbogaconej i rozszerzonej przez doświadczenie naturalnej organizacji, która wywiodła nas z barbarzyństwa i uchroni od wpadnięcia weń z powrotem, do czego zmierzają dzisiejsze tendencje „racjonalne“, pokładające nadzieje w rachunku, zamiast zwykłych ludzkich uczuć.

ZYGMUNT RACZKOWSKI

POLITYKA WSPÓŁCZESNEJ ROSJI

(Dokończenie)

NALEŻY pamiętać, że imperjum rosyjskie składało się z ziem pod względem narodowościowym i wyznaniowym nadzwyczaj różnolitych. To też hasła caratu — prawosławie i narodowość, — nie jednając narodu rosyjskiego w ściślejszem znaczeniu tego wyrazu, usposobiały do państwowości rosyjskiej wręcz wrogo podbite obszary o innej narodowości albo wyznaniu. Carat nie posiadał dla nich żadnej siły atrakcyjnej i rozporządzał tylko przymusem. Z chwilą więc, gdy został obalony, szwy imperjum zaczęły pękać.

Kraje, poprzednio przemocą wcielone do Rosji, lecz posiadające własne spoidła mocne — narodowe, społeczne, religijne — z tą chwilą wyzwoliły się na stałe: Polska, Litwa, Łotwa, Estonja, Finlandja, — tu bowiem carat swej destrukcyjnej roboty dokonać nie zdołał. Na razie uwolniły się również: Ukraina, Kubańszczyzna, Kozaczyzna Dońska, Górale Kaukascy, Krym, Gruzja, Armenja, Azerbejdżan, Białoruś, a rósł separatyzm w kolonjach Rosji azjatyckich i głos o niezawisłość zaczęły nawet podnosić plemiona tatarskie i fińskie nieomal w głębi Rosji, podbite przez nią przed setkami lat i, wydawałoby się, przeżute dokumentnie.

Wracała więc Rosja do granic nieomal przedhistorycznych. Ze stanowiska europejskiego na takie zróżniczkowanie obszaru imperjum patrzeć można było różnie, a więc między innemi i z tego punktu widzenia, że wyzwalało ono siły w poszczególnych ludach drzemiące, a ujarzmione. Przeto dawało bodaj możność korzystniejszego wyzyskania ekonomicznego poszczególnych terenów, w czemby mógł zatrudnienie znaleść poniekąd i europejski kapitał. Być może, że i dla Rosji, jako dla narodu o słabej wprawdzie, lecz bądź co bądź istniejącej strukturze społecznej, taki rozbiór jej terytorjum miałby także niejakie wartości, choć tego w Rosji nikt nie rozumie. Właśnie imperjalizm carów strzaskał jej kręgosłup społeczny, o ile istniał, bo przydeptał swojem *divide et impera* politycznem.

Rosja Milukowa i Kiereńskiego natychmiast stanęła wobec tych zagadnień i nic im przeciwstawić nie mogła.

Lecz bolszewicy odziedziczyli po caracie nie tylko imperjalizm, ale i umiejętność osiągania celów. Naprzeciw ruchów narodowych separatystycznych nie wyszli z hasłami nacjonalizmu rosyjskiego. Pamiętali, że siłę atrakcyjną narodowo-rosyjską, wobec narodowości do caratu wcielonych, posiadała dawniej tylko inteligencja, która wśród nich poczyniła swojemi ogólno-ludzkiemi doktrynami więcej spustoszeń i wynarodowień — oczywiście z pomocą szkolnictwa caratu, — aniżeli carat. Owszem, poszli na znaczne koncesje dla poszczególnych narodowości, a z temi, co się zdołały wyzwolić, zawarli pokój. Emigracja rosyjska wytyka to bolszewikom jako zdradę Rosji, — a raczej imperjalizmu carskiego. Wątpliwe wszakże, czy zdołałaby dla Rosji z światowego pożaru uratować tyle, co bolszewicy, którzy z pomocą komunizmu trzymają przy sobie wiele krajów, a przeciw innym nie poniechali nawet walki zbrojnej albo zamachów — udanych (Gruzja, Azerbejdżan i t. d.) lub nieudanych (Polska, Estonja etc.). Komunizm stał się narzędziem imperjalizmu rosyjskiego lepszem od przódy stosowanych, bo znajdującem w krajach podbitych pewne oparcie ideowe: po zniesieniu górnych warstw społecznych, denacjonalizuje inteligencję, poczem perfidnie pozostawione ludowi wolności narodowe tracą praktyczną wartość. Zastępując samowładztwo cara t. zw. sowietami, czyli samowładztwem partji; nacjonalizm — rzekomo międzynarodowym komunizmem, — a prawosławie, którego nie podzielała znaczna liczba ludności różnowierczej, — bezboż-

nictwem, Rosja w swej nowej postaci pozostaje Rosją, równie, a może bardziej jeszcze imperjalistyczną i zwartą, tyle że przestarzałe spoidła i hasła zastąpiła bardziej współczesnemi, i jak się okazuje, na razie przynajmniej, skuteczniejszemi.

Równie interesujący jest stosunek nowej władzy rosyjskiej do Europy. Zdawałoby się, że biorąc podstawy ideologji od niej, zbliża się do niej przez to. Okazało się odwrotnie, że zamyka się przed nią murem chińskim, nie dopuszcza jej do siebie, gnębi ją w sobie. Rosja carska była krajem nadewszystko rolniczym, zaopatrywała więc Europę w zboże, drzewo i rośliny techniczne. Sprowadzała natomiast wszelkie produkty przemysłowe, a ten rynek zbytu dla Europy był pojemniejszy i korzystniejszy od wielu kolonij. Od dziesięcioleci ostatnich XIX wieku carat począł kłaść tu jednak wielki nacisk na rozwój rodzimego przemysłu, wytwarzając zarazem w szybkiem tempie nie tyle gęstą, ile wielką sieć kolejową. Powstało szereg fabryk w Petersburgu, Moskwie i pod Moskwą, wszczęto lub rozszerzono eksploatację bogactw naturalnych Uralu, Dońca, Kaukazu i Syberji. Uprzemysłowienie szło w parze z wrostem konsumpcji, to też przywóz zagraniczny się wzmagał. Zarazem do tego uprzemysłowienia pociągnięty został kapitał obcy, angielski, belgijski, francuski, amerykański, niemiecki. W przemyśle naftowym Baku nie inwestowano bodaj grosza kapitału rosyjskiego. Wielkie pieniądze obce utrzymywały kopalnie węgla i soli nad Dońcem, rudy żelaznej w Krzywym Rogu, złota na Syberji. Bardzo liczne zakłady przetwórcze również należały do firm zagranicznych, w metalurgji przedewszystkiem, zresztą w każdym przemyśle, nawet rolnym (angielski syndykat maślarski na Syberji), a i w handlu wewnętrznym (zwłaszcza konfekcja).

Dodać należy, że niektóre posiadłości imperjum, przedewszystkiem zaś Polska, rozwinęły przemysł własny, zyskujący jego rynki. Wszelką protekcją, celną, kolejową, kredytową, carat przemysłu rodzimego bronił. Nie mógł jednak przeszkodzić temu, że Rosja, im dalej, tem więcej, stawała się domeną kapitału obcego. Minęły czasy, kiedy zaraz podbijano kraje jak kolonje, lub dzielono na sfery wpływów. Podział ten odbywał się w centrali, i carat sam nie dostrzegł, jak zostawał do pewnego stopnia przykrywką dla obcej kolonizacji przemysłowej. W dodatku przez kredyty na rozmaite inwestycje własne lub subsydjowane uzależniał się od państw obcych, głównie Francji. Rosja w wojnie światowej nie miała w istocie interesu własnego, wytworzono jej go z zewnątrz, przyrzekając zdobycze terytorjalne, i kto wie, czy wzięłaby w niej udział z własnego popędu, gdyby nie stała potrzeba pomocy finansowej od sprzymierzonych. Należy przyznać jednak, że carat przed tą zależnością bronił się jak umiał, i wspierał siły twórcze własnego narodu o tyle, o ile nie obawiał się ich politycznego wzrostu. Jeśli więc w przewrocie rewolucyjnym r. 1917 znać obcą rękę, chodziło niewątpliwie o dalsze podporządkowywanie Rosji względom politycznym i gospodarczym niektórych krajów. Mówiono już gdzieniegdzie, że Rosja zapłaci z naddatkiem koszty wojny obu wojujących obozów. I kto wie, czy tak by nie musiało być, gdyby Rosja po obaleniu caratu pozostała w ustroju liberalnym, konstytucyjnym, słabym wewnętrznie wobec niedowładu popierających go sił społecznych, a więc tembardziej zdanym na grę sił zewnętrznych.

Oczywiście, winę tych stosunków ponosiła Rosja sama, a wyjście z nich szło zapewne po drodze stopniowego i nieuniknionego zresztą rozwoju jej sił wewnętrznych i własnych w ramach ustroju zachodniego, z razu słabego. Zapewne leżało to nawet, pomimo pewnej zależności chwilowej od potęg obcych, w jej interesie narodowym, na dłuższą metę pojętym. Nie da się atoli zaprzeczyć faktowi, że komunizm, posługując się metodami przez europejską etykę i politykę nieuznawanemi, a na dalszą metę dla Rosji wysoce ryzykownemi, na razie osiągał ze stanowiska patrjotycznego rosyjskiego bardzo wiele. Niszczył wprawdzie do szczętu burżuazję rodzimą, zupełnie zresztą słabą, ale rugował zarazem z Rosji cały olbrzymi wkład kapitału obcego, „nacjonalizując" przemysł i odmawiając płacenia długów, które sięgały kilkunastu miljardów franków złotych. Jakkolwiek patrzeć zechcemy na to niebywałe zdarzenie historyczne, ustalić musimy, że w ten sposób przewrót komunistyczny przywłaszczał Rosji kolosalne bogactwa, wielkie fabryki ze wszystkiemi urządzeniami i aparatami technicznemi oraz rezultat wkładu pieniężnego, przez obcych zakredytowanego, którego nie potrzebują już więc oprocentowywać, ani spłacać. Ideologja zaś komunistyczna upozorować to potrafiła wyższemi względami moralnemi.

Innemi słowy, bolszewizm, jako prąd najbardziej radykalny, niszczącemi siłami swemi prowadził zarówno do utrzymania imperjum terytorjalnego, jak do wyzwolenia go z władzy obcej, subtelnej i nieuchwytnej, w żadne nieobleczonej formuły konstytucyjne, ale faktycznie o wielu rzeczach decydującej. Na tem jednakże, by Rosję uwolnić od wojny i od zależności, a nie dać się jej rozpaść, komunizm nie poprzestał. Zarówno, jak dał jej pewien łącznik ideowy terytorjalny, wystąpił z pewnym programem gospodarczym. Uprzemysłowienie Rosji zostało postulatem jego, jak było za caratu.[1])

Nie dziwne to, skoro wiemy, że komunizm jest emanacją prądów europejskich, powstałych na podłożu rozwoju wielkiego przemysłu i koncentracji kapitału. Bez podstawy materjalnej w przemyśle, komunizm nie miałby racji bytu. A więc z chwilą znacjonalizowania przedsiębiorstw obcych i własnych w kraju i zerwania stosunków gospodarczych z zagranicą, komunizm stanął z nakazu własnej ideologji i konieczności życiowych kraju wobec obowiązku budowania przemysłu, do czego zresztą w tem, co obejmował, miał wielkie dane, aczkolwiek je podczas przewrotu poważnie zmniejszył. Zapewne, każdy rząd w tych warunkach musiałby to samo czynić. Interesujące jednak jest, że przemysł ten został odrazu nastawiony na pewne określone kierunki, zresztą już za caratu się zapowiadające. Nie chodziło więc tylko już o zaspokojenie potrzeb kraju, ale o ekspansję — oczywiście na wschód (Chiny, Persja, Turcja, Mongolja etc.). I tu więc imperjalizm caratu został w całości przez bolszewików odziedziczony, zwłaszcza że towar ich idzie w parze albo też poprzedzony jest przez propagandę polityczną rzekomo społeczną, w istocie narodową.

[1]) Pamiętajmy o tem, że ośrodki myśli rosyjskiej (Petersburg i Moskwa) znajdują się na terenach pod względem rolniczym zupełnie słabych i że oddawna uprzemysłowienie było tu uważane za spoidło imperjum, czem, rolnictwo, z natury rzeczy zdecentralizowane, być nie mogło.

Należy więc mieć na względzie, że komunizm jest ideologją przemysłową i w kształtach narodowo napozór obojętnych stanowi propadandę rosyjską kolonjalną. Chcielibyśmy powiedzieć, że nie jest przypadkiem, iż ideologja imperjalizmu rosyjskiego przybrała formę komunizmu: drogę ekspansji azjatyckiej otwierało Rosji uprzemysłowienie, a to na tle poprzedniego niedorozwoju warstwy mieszczańskiej rodzimej stało się możliwe w formie kapitalizmu państwowego czy etatyzmu, który istotę komunizmu stanowi.

To zaś dało jej możność utrzymania własnego przemysłu i środki do jego ekspansji wschodniej, zresztą ułatwionej przez przeciwstawienie na tych terenach wysiłkom kapitalistów innych, idących pod sztandarem narodowym, haseł rzekomo międzynarodowych, uwalniających kraje wschodnie od hegemonji burżuazji europejskiej lub amerykańskiej.

Rozważania nasze zmierzają do tego celu, by spojrzano na zabiegi komunizmu tak w Rosji, jak na terenach ekspansji jej, nie tylko ze stanowiska formalnej treści jej obecnej ideologji oficjalnej w brzmieniu dosłownem, lecz by również dostrzeżono w tem pewne sprężyny osobliwego ruchu imperjalistycznego, zdążającego *mala fide* do osłabienia zaiste zresztą groźnych przeciwników. Interesujące jest z tego stanowiska, że organy zakordonowej prasy rosyjskiej wyrażały niejednokrotnie uznanie dla polityki Sowietów w Chinach, Turcji, Afganistanie, Persji i Indjach, jako dla roboty narodowej rosyjskiej. Możliwe, że Rosja, idąc drogą normalną uznanego prawa międzynarodowego, zdołałaby uzyskać nie mniejsze wyniki. Ale do takiego postępowania, jakeśmy rzekli, brakło jej dostatecznie silnych podstaw społecznych i kulturalnych.

Nie przeczymy, że Rosja, w jej kształcie obecnym, jest pewnego rodzaju wybuchem niejakich sił międzynarodowych. Poparcie wszelkich jej posunięć przez istniejące w każdym kraju stronnictwa komunistyczne daje wiele do myślenia. Wydaje się, że zaaranżowany przez nią przewrót odpowiada niektórym czynnikom międzynarodowym i o rozwiązanie się kusi wielu spraw ogólnoludzkich. Atoli przekonywamy się łatwo, że III-cia Międzynarodówka nie dopuszcza żadnych „ukłonów“ (odchyleń) od właściwego kierunku Rosji sowieckiej, że w każdej partji komunistycznej tego lub innego kraju, z chwilą, gdy się wzmacnia i uniezależnia, wywołuje rozłam, dzielący ją na komunistów mniej i więcej prawowiernych, i wyrzucający za nawias wszystkich, co się nie kierują w polityce swej ściśle interesem narodowym Moskwy.

Zjawisko to jest tak powszechne i zwykłe, iż wymaga wytłumaczenia nie jako przypadek, lecz reguła. Skoro zaś jest tu reguła, polegać ona może tylko na tem, że Rosji sowieckiej nie zależy bynajmniej i wcale na przewrocie komunistycznym w innych krajach, lecz raczej na posiadaniu tam swojej reprezentacji ukrytej („jaczejek“). Kto wie bowiem, czy gdyby sowiecką została Anglja albo Niemcy, hegemonja ruchu nie przeniosłaby się przytem z Moskwy do Londynu lub Berlina? A tego III-cia Międzynarodówka, ekspozytura Moskwy, za nic sobie nie życzy. Jak za carów, Moskwa jest „trzecim Rzymem“, — i od tego komunizm nie odstąpi. Najjaskrawszy komunista angielski, francuski czy niemiecki jest o tyle tylko dobrym komunistą, o ile podlega bezapelacyjnie Leninowi, Trockiemu, Stalinowi etc., wodzom komunizmu rosyjskiego. A więc „bolszewizm“ w Europie służy nie idei międzynarodowej, ale jedynie grze politycznej rosyjskiej, osłabieniu Europy w interesie Rosji.

Gotowi jesteśmy w tem oświetleniu sprawy wprowadzić poprawkę, uwzględniając, że wiele z wymienionych faktów zbiegło się z interesem narodowym Rosji poza świadomością komunizmu. Przecież dziś, po dwunastu latach trwania rządów bolszewickich na przeważnym obszarze byłej Rosji (częściowo uszczuplonym na zachodzie, częściowo pomnożonym na wschodzie), już nie może być kwestji, że to imperjum posiada pewne interesy terytorjalne własne, jakkolwiek ideologją są pozorowane. Władza ta wrosła w pewną ziemię i tę reprezentuje. Niechaj jej nie nazywa Rosją, lecz Z. S. S. R., pozostaje objektywnie dalszym ciągiem caratu.

WŁODZIMIERZ WAKAR

W TAJNIKACH WYBACZENIA

JEŻELIBY dramat p. Nałkowskiej [1]) miał mieć tezę, to teza ta byłaby wątpliwa; jeśli jest tylko psychologją — takiem bezradnem i dlatego tragicznem stanięciem wobec zawikłań serc i zdarzeń — to jest zajmujący i głęboki; głęboki — ale nie doskonały — bo kończy się jakimś niespodziewanym, niezrozumiałym — że się wyrażę — kleksem.

Bohaterami, nosicielami sztuki, są ojciec i żona zbrodniarza.

Stała się zbrodnia. Zbrodniarz odcierpiał karę i wraca do domu. Ale w domu spotyka ojca. Ojca, który mu nie wybaczył — i nie wybaczy nigdy. Bo ten stary człowiek, w olśniewająco zimnej i czystej jasności intelektu wie, że nikomu nie wolno wybaczać, skoro człowiek, który padł z ręki mordercy, już nie żyje. Jakiem prawem? Jakiem prawem stawiać się samemu w miejsce tego tam życia pokrzywdzonego, niedokończonego, zerwanego, co samo jedno jest ową rzeczywistością, w którą ugodziła zbrodnia? Stało się, coś się zmieniło w świecie, czegoś w rzeczywistości zabrakło i nigdy brak ten nie zostanie wypełniony. Nieodwracalny jest czas. I taka krystalicznie rzetelna jasność wiedzy — to jest właśnie nieubłagane sumienie: Objektywizm matematycznie dorównany i niezłomny. Istnieje rzeczywistość odemnie niezależna, w której absolutnie nic się nie zmieni, chociaż ja zmienię swoje myśli o niej. Przestępca wraca z więzienia; w domu miękka i czuła naiwność (uosobiona w młodej dziewczynie, Broni, kuzynce pani Moniki Ileckiej) wita go kwiatami i winem, symbolami zapomnienia i współczucia. Ale stary pan Dominik wie, że to wszystko nic nie znaczy. Co stało się, trwa — w rzeczywistości niedopełnień: „Niema przebaczenia. Świat już nigdy nie wróci na to miejsce, gdzie był przed twoją zbrodnią“.

Twarda i surowa świadomość. Ale, powiedziałbym, należy mieć wdzięczność dla autorki za to, że

[1]) „Dzień jego powrotu“. Gebethner i Wolff, 1931.

w tej epoce sentymentalnej perwersji i krótkiego tchu wyobraźni, kiedy nawet wobec najstraszliwszego zbrodniarza przed sądem, myśl skupia się na tym „nieszczęśliwym", bo go mają na oczach, a nie na tamtych jego ofiarach niewinnych, bo ich nie widzą; że w tym czasie zgniłkowatych zapomnień, że w takiej epoce i takim czasie — tak rzetelnie i z taką logiczną dzielnością przekonywa, że nikt nie ma prawa przebaczać w cudzem imieniu. Naturalnie — dodam odrazu — można karę łagodzić z jakichś względów, można jej nawet w jakimś szczególnym wypadku nie wykonać — ale idzie o rehabilitację samej idei kary, o przyznanie, że właśnie ona płynie — wprawdzie nie z miękkiego i o krótkim tchu, ale twardego i intelektualnie wysokiego — współczucia z ludźmi. Coprawda p. Nałkowska, jakby się ulękła swej logiki, charakteryzuje Dominika w scenarjuszu „niewątpliwie manjak"; wygląda to na *post scriptum*, bo Dominik jest z całą powagą i sympatją charakteryzowany; jakie skrupuły kazały jej osłabić ideę niewybaczalności zbrodni, nie wiadomo? Dość, że w tych, bardzo prostych, nie koturnowych wypowiedziach Dominika, autorka „Dnia" prowadzi w przestrzeń wysoką, gdzie powietrze jest astronomicznie czyste i rzeźwe.

Na tragizm Dominika nietylko się to składa, że on nie może, nie pozwoli sobie nigdy wybaczyć swojemu synowi, ale i to, że zna — retrospektywnie złoczynną moc zła. Człowiek, który kochał zbrodniarza, obdarty jest z przeszłości. Dominik powiada, że musi przerobić całe życie swoje własne „od tej strony, przedewszystkiem całą twoją biografję". Przecież Ksawery był kiedyś dzieckiem, małem dzieckiem... I to się nie zmieniło, nie odstanie się. A jednak... zmieniło się wszystko. „Rzeczy zostały te same, ale już co innego znaczą". Wszak wszystko, co było dobre i miłe, teraz ma już nowy sens: jest punktem na linji, co prowadziła ku rzeczy strasznej. Na wszystkie wspomnienia padła ta jasność blada, ogromna, niesamowita, w której jest występek i grzech. Niezrównana jest tutaj ta psychologja owego wielkiego, jakby metafizycznego zdziwienia, jakiego doznał człowiek uczciwy, normalny, stanąwszy wobec rzeczy niepojętej, wobec zła okropnego, a swojej krwi. To zdziwienie, to zwątpienie rozszerza się na całość rodziny. Kim była ta zmarła żona, kobieta dobra i solidna? Przecież nie każda kobieta rodzi syna zabójcę?... A kim jest on sam, ojciec? Przecież w nim przez to, że syn jego to zrobił, nic się nie zmieniło; a jednak wszystko się zmieniło: nie jest już ojcem porządnego, zwykłego człowieka, jest ojcem zbrodniarza. Rodzina: kamienna i nieodparta solidarność jednej krwi, w dobrem i w złem; nie od zewnątrz, od opinji i zwyczaju idzie ta okoliczność, ta duma i ten wstyd: złowrogo i niespodziewanie wina synowska zagraża najgłębszemu samopoczuciu całej osobowości ojca, człowieka jednej krwi. Rozszerza się obwód winy — „nic nie jest osobno", nikt nie jest winny sam dla siebie.

Ale tragizm Dominika nie rozstraja go, nie psuje. Skupił się cały przy swej idei kary, żyje ascezą niewybaczenia, broni się przed wrogiem wewnętrznym swem odgrodzeniem się od syna, restytuuje część krzywdy, wziąwszy na swe wychowanie sieroty po zamordowanym, wkupia się we wzniosłość. Rzeczy gorsze i okropniejsze dzieją się u dobrej Moniki. Tu nie ma prostych męskich linij ojcowskiej zgrozy i otrząsu. Tu wszystko pomieszało się i skomplikowało przeraźliwie. I tu było to straszne zdziwienie, a potem praca i trud wyrywania, pielenia miłości, trud codzienny, jałowy, bo „miłość to jest wiele małych rzeczy razem", i zabita na jednem, wyziera uporczywie z wielu innych miejsc. I jeszcze gorzej — bo katastrofa, co wstrząsnęła wątłą kobietą, wydobyła z niej możliwości nieprzewidziane, wtrąciła ją w jakieś rzeczy przerażające, nieczyste.

Monika, pewnego rana, po nocy pełnej niepokoju, kiedy mąż nie wrócił do domu, dostała telefon od nieznajomej jakiejś kobiety, że Ksawery w jej domu zabił człowieka. Stawiony przed sądem, winowajca zeznał, że zabił go z szału zazdrości. Tamta potwierdziła to. Skazany na parę lat za zabójstwo z afektu, w ten zimowy poranek powraca. Tymczasem w domu wiele się zmieniło. Monika, odwiedzając męża w więzieniu, chcąc go oszczędzić, nie wyjawiła mu, że została pokochana i pokochała kogoś innego. Między nią a mężem, który w namiętności dla drugiej posunął się aż do zabicia rywala — niema już nic. Nie powinno być nic. Tomasz jest człowiekiem czystym i prawym. Nie jest winien odwróceniu się jej serca od męża. Zbliżyli się już po wszystkiem, kiedy ona była w okropnej męce. Teraz Monika postanawia rozpocząć nowe życie. Moment powrotu męża zbrodniarza ma być ostatnim jej pobytu pod jego dachem. Tomasz pragnie Ksawerego sam o tem powiadomić. Monika postanawia załatwić to sama. Nadchodzi godzina wyznaczona. Monika nie odchodzi, waha się, rozstrzygnięcie odwleka się. Cóż zaszło?

Monika zwleka z wyjawieniem mężowi swej decyzji. Działa tu niewątpliwie naturalny lęk kobiecy przed chwilą katastrofalną, działa wielka litość nad człowiekiem, co wracając do nowego życia, doznać ma takiej niespodzianki. Ale działają jeszcze inne zapory wewnętrzne. Oto Monika dowiaduje się od męża rzeczy oszołomiająco nowej: On nie zabił z zazdrości, on tej kobiety prawie że nie znał, on miłuje i uwielbiał zawsze, i uwielbia tembardziej teraz, tylko ją, żonę swoją, która jest dla niego jedyną ostoją w nowem życiu, jakie chce rozpocząć. Więc dlaczegóż zabił? I to jest ohydne: Zabity, kolega z wojska, znał jego zbrodnię z czasów wojny, właśnie zbrodnię niepotrzebnego morderstwa z sadyzmu — i nie lubiąc Ksawerego, gardząc nim, odgrażał się, że powie o tem Monice. Ksawery bał się utracić jej miłość. Morderstwo popełnił z premedytacją. Kobieta, u której to się stało, kochanka zabitego, miała jakiś interes w tem, żeby potwierdzić zeznanie o zabójstwie z afektu.

Co za djalektyka w duszy Moniki! Ten człowiek nie zdradzał jej, on ją kochał, nieprawda to wszystko, czem ona usprawiedliwiała się sama przed sobą, czem oni oboje, ona i ten Tomasz tak prawy, który widać broni się przed tajnym wyrzutem sumienia, usprawiedliwiali się sami przed sobą: Monika nie została zdradzona. Ale zato tem ohydniej jawi się zbrodniarz: on już nie jest człowiekiem, który zabił raz, przypadkowo, w szaleństwie, ale jest człowiekiem, który zabija. Sprawdza się głuche, dawne przeczucie Moniki, że człowiek, którego kochała, jest człowiekiem dziwnym, niesamowitym.

Zbliża się godzina odejścia — ale w Monice wszystko załamuje się: „On tam czeka na dole, a ja nie mam siły iść... Już nie mam siły — co to znaczy? Mój ukochany, czysty i łagodny, mój ukochany, który nikogo nie zabił, czeka na dole... A ja..." Zwleka. Tymczasem zbrodniarz, dowiadując

się od zakochanej w nim Broni, co „kłamstwa znieść nie może“, że Monika odejść ma nie sama, wybiega za tamtym i morduje. Wraca spokojny, straszliwy. Wyklina go ojciec, a Monika?... I tu jest nieoczekiwany, okropny tej kobiety gest, który widocznie na scenie musiał zaznaczyć się niesamowicie obrzydliwie, skoro aż przeraził recenzenta [2]),— gest, który zamyka sztukę: Monika odzywa się do świeżego mordercy „cicho“, po imieniu: „Dlaczego, dlaczego, Ksawery. Przecież ja nie byłabym odeszła“... Jakieś podłe, otchłannie podłe przebaczenie!...

Cóż by to miało znaczyć? Wyparcie się człowieka, który jeszcze przed chwilą był „jedynem dobrem, jedyną prawdą jej życia“, o którego bała się, z którym chciała iść, żeby się oderwać od rzeczy potwornych, wyparcie się go wobec jego świeżych jeszcze zwłok, wyparcie się w momencie, gdy stał się tak — wiekuiście bezbronny; znaczyłoby to, owo czułe „Ksawery“, nikczemnie, lubieżnie bestjalskie oddanie się sile brutalnej, zbrodniczej, zwycięskiej, człowiekowi, którego ręce jeszcze lepkie są od zbrodni, oznaczałoby brak lęku przed samym fizycznym, ordynarnym doczynem mordu i egoizm monstrualny samicy, która przebacza kochankowi wszystkie zbrodnie, dowiedziawszy się, że nie zdradzał jej, że kocha ją...

Czy autorka miała prawo insynuować coś podobnego kobiecie nawskroś przyzwoitej, którą charakteryzuje jako „łagodną, miłą, chcącą jak najlepiej, kobiecą", litościwą? Czy autorka miała do tego prawo, powtórzę? Bo autorów obowiązują charaktery przez nich tworzone. Są błędy artystyczne, które się ma prawo odczuwać, jako błędy etyczne. Jak nie można, zdaniem mojem, wybaczyć Żeromskiemu kilku momentów „Dziejów grzechu“ — tak i finał „Dnia jego powrotu“ uznać należy za moralnie niedopuszczalny. Moralnie niedopuszczalny z tego powodu i tylko dlatego, że psychologicznie nieusprawiedliwiony. Albowiem, choć nieskończenie wielką jest amplituda możliwości zła i dobra w rodzaju ludzkim, to jednak u jednostki rozpięcie to trzyma się pewnych granic. Nie, to nie jest prawda, że każdy może uczynić wszystko! Są granice zła, poza które dusza uczciwa, nawet w katastrofie upadku nie wykroczy. To jest podejrzana i zgoła nieprzyzwoita pokora, kiedy się mówi: „dziś jestem porządny, ale kto wie, jaki będę za rok“... Grzeszni jesteśmy wszyscy, ale nie wszyscy szubrawcy. Dżentelmen wie, w jakim kierunku nacisk go złamać może i zniszczyć, lecz nigdy ugiąć. Dlatego i w sztuce przedstawiać inaczej—niezgodne jest z mocą, jedynie tu decydującą: prawdą doświadczenia życiowego — jest to albo złośliwem dekadenctwem, albo nieusprawiedliwioną dezynwolturą, naraz artystyczną, psychologiczną i etyczną.

Ta więc Monika, Monika, na którą patrzyliśmy przez cały ciąg zdarzenia, jako na kobietę przyzwoitą, sympatyczną, litościwą, teraz, nagle, psychicznie tuląca się i czuląca się do mordercy człowieka, którego kochała, jest nieprawdopodobna, autorka rzuciła na nią pod sam koniec wielki, nieczysty kleks. Ale, z drugiej strony, przyznać trzeba, że częściowo autorka uwierzytelniła ten zwrot. Niepodobna przypuścić, aby kobieta jak Monika, w takim momencie spadła aż do tej głębiny. Po winny były działać w niej zapory, któreby coś podobnego uczyniły wprost automatycznie niemożliwem. Ale jednak, Monika była też na pochyłości tragicznej tego przebaczenia.

Monika, niby to tylko z litości i obowiązku formalnego odwiedzała męża w więzieniu; tymczasem już pokochała Tomasza, tego, którego spotkała w swej rozpaczy śmiertelnej, w swem straszliwem zdziwieniu, tego, który „nigdy nie zabił człowieka“, który był „przezroczysty“, bo nawet jeśli były w nim jakie wady, to były „osobno“, były zrozumiałe, nie zanieczyszczały całej osobowości i nie niepokoiły; uczucia do Tomasza wyzwoliły więc i uspokoiły wszystkie jej możliwości dobre i czyste, tak straszliwie zawiedzione przez tamtego. Lecz oto, z rozmów Ksawerego z Moniką i Moniki z Tomaszem dowiadujemy się pewnej rzeczy wcale rewelacyjnej. Pewnego dnia, tam, w więzieniu, w nagłym paroksyzmie powrotnej miłości, Monika szepnęła mężowi zdradzieckiemu i zbrodniczemu, „że się nie boi urodzić dziecka zbrodniarza“... (Związek ten widocznie był bezowocnym, skoro Monika, mając opuścić dom, chyba uprzedziłaby Tomasza, że nosiła w łonie dziecko).

I w końcu ta miłość małżeńska, która jest dla niej miłością wstydu i przerażenia, zwycięża. Nie sądzę, żeby należało to sobie tłumaczyć jako perwersję, pociąg do otchłani. Monikę wyobrażam sobie jako typ kobiety głęboko wiernej, która nigdy nie zapomni tego pierwszego. Ksawery zresztą jest męski, inteligentny, umie kochać, umie porywać uwielbieniem. Tomasz — (aczkolwiek i on nie jest żadnym przypadkowo znalezionym poczciwiną, bo jest męski, prosty, elegancki) — jest dla niej, mimo wszystko, tylko ucieczką, tylko ratunkiem. (I gdyby to właśnie autorka chciała zaznaczyć — kiedy każe Monice jej własne poczucie, iż tylko z rozpaczy chroni się w ramiona Tomasza, jemu wmawiać: „ty kochasz we mnie mój zły los”— to byłaby to subtelna i doskonała psychologja). A to, że w Ksawerym zawsze było coś niepewnego, to właśnie mogło wzmacniać miłość, być szczepionką, która tylko prowokuje samozachowawczą moc miłości; później, gdy przypuszczała, że Ksawery był kochankiem innej kobiety, znowu głęboko w dno psychiczne wpędzona i wbita zazdrość, mogła być tem, co wiecznie ożywiało i fermentowało istność Ksawerego w jej psychice, ta rzekoma zdrada ze strony męża była nawet tem, co na pierwszym planie świadomości działając, usprawiedliwiło subjektywnie jej zdradę małżeńską; zbrodnia zaś Ksawerego wydawała się mniej ohydna, skoro miała być zabójstwem z afektu. Teraz, po wyznaniu Ksawerego, że zawsze wielbił ją i nigdy nie zdradził, odpada ten w jej psychice główny czynnik przeciwny jemu, którym była zazdrość, świadomość, że była zdradzoną. Tomasz, który był ratunkiem przed wstydem tej zazdrości, tej wiecznej, tajnej myśli o zdradzie ze strony męża, w tym momencie, traci dla niej „pragmatyczne” znaczenie. Bo miłość do męża, którą odrywała, jak mięso od kości, teraz znów ożywiła się, „rusza się, jak robaki”... Do tej pory wszystko zrozumiałe. Ale dalej nie. Bo przecież powinny były zostać i trwać przywiązanie i wdzięczność dla Tomasza, który uratował jej „możliwość życia", powinny były przedewszystkiem wystąpić wstręt i przerażenie przed człowiekiem, który nie z afektu zabił, ale który zabija. Nowe zabójstwo, tym razem naprawdę z afektu, mogło było kiedyś, po jakimś czasie, w sercu Moniki uzyskać wybaczenie: „on to dla mnie

---

[2]) A. Słonimski w „Wiadomościach Literackich“.

zrobił, z miłości dla mnie, straszny zawód go spotkał w dzień powrotu" — nawet ten jego pociąg zbrodniczy mógł pobudzać litość, że to niby niesamowita *vis maior* opętała tego człowieka jak ofiarę swoją — to wszystko możliwe Ale tak zaraz, nagle, tuż przy Tomaszu, co jeszcze był rzeczywistością jej duszy, tuż powtarzam — przy zwłokach nieszczęsnych, tuż wobec ordynarności morderstwa?!... Nie, to jest jakiś głęboki nietakt moralny, bo psychologiczne nieprawdopodobieństwo — i dlatego artystyczny błąd. Monika, skoro tak się sztuka, miała zakończyć, powinna była albo biedz do zwłok zabitego, alo w lęku kryć się przed mordercą do ojca jego, albo naprzykład kończyć dramat słowami: „I teraz znowu się zacznie, wszystko to samo, to samo"... Teraz zaczyna się dla niej tragedja jeszcze groźniejsza. (To, czy coś podobnego byłby już wprawdzie może jakiś intelektualizm nie na czasie, ale w każdym razie nie taki kleks. Zdarzenie, które do tej pory rozwijało się przed nami jak kawał prawdziwego życia, według jego naturalnych praw — w tem miejscu demaskuje się jako rzecz zrobiona [3]). Współczujemy głęboko z pewnem sercem, szarpanem, i gorzej jeszcze, psutem tragicznie przez los; aż tu gest, który nas głęboko zraża; czujemy mocną przykrość — ale przykrości tej nie zawiniła prawdy życiowa, która choć jest niesłychanie skomplikowana, ma swoje prawa nieprzekraczalne; zawiniła ją autorka, która pozwoliła sobie być bardziej szyderczą, niż byłoby w tym wypadku — życie.

*

Czy Ksawery, stając się recydywistą w sam dzień powrotu, nie jest ofiarą? Ofiarę żony, która zamierza go opuścić, ofiarę nieustępliwości ojca, jego idei kary? Ksawery po rozmowie z ojcem czuje, że świat stałby się gorszy, gdyby jemu wybaczył, deprymuje się, traci wiarę w to, że wolno mu wrócić do życia, jako człowiek nowy. Czy nie jest ofiarą małżonki, która go zamierza opuścić? Tu byłaby — jak już zauważyłem na początku — teza: Świat, za swą pamięcią karzącą, uniemożliwia przestępcy odrodzić się [4]).

Nie wiem, czy autorka faktycznie chciała suggerować tę tezę, lecz, gdyby tak było, to nie uważam, ażeby udowodniła ją. Raz dlatego, że zbyt przekonywająco wyłożyła przez usta Dominika ideę kary, jako etyczno-logicznej konsekwencji z tego, że zbrodni nie da się już odwrócić. Następnie dlatego, że Ksawery jest zbrodniarzem urodzonym, tak go określa, tak on sam o sobie wyznaje, gdyby nie był popełnił teraz przestępstwa, byłby to zrobił kiedy indziej. (Tylko ten zasługiwać może na ułaskawienie, kto nie popełnia przestępstwa z musu). Ksawery, wracając do świata, czuje się osamotniony; ale czyż przedtem nie osamotniła go sama jego natura?... Przestępca okazał się człowiekiem, w najlepszym razie, niepewnym—i nie zdoła sprawić, żeby traktowano go inaczej, — chybaby wygasł samozachowawczy instynkt u wszystkich, co się z nim spotykają. Jest instytucja, która nigdy nie osamotni najgorszgo nawet przestępcy, ale ta rządzi się innem prawem.

A co do Moniki? Przecież ona — (pominąwszy to jej wybaczenie finalne, skandaliczne!) — była już na drodze do wybaczenia... Czemże było to oddanie się zapamiętałe w więzieniu, jeśli nie przebaczeniem? Ale niech wolno będzie spytać: Czy akt ten nie był zdradą—zdradą kochanka, który był dla niej ratunkiem jej możliwości dobrych, dzięki któremu uwierzyła, że „miłość nie zawsze musi być wstydem"? Pominmy na chwilę kryterja jurydyczne, weźmy zdradę w istotnym sensie tego słowa — jako odstępstwo od życia wyższego dla niższego; czyż, w zespoleniu miłosnem z mężem swym, nie zdradziła ona miłości jasnej i wyzwalającej na rzecz miłości głuchej i przerażającej, której się wstydziła wewnętrznie, czyż nie zdradziła swej świadomości na rzecz swej ustrojowości? Obowiązywała je *charitas* — i obowiązywał obowiązek. Ale w praktyce ta *charitas* i to współżycie, to był *amor* o ciemnej twarzy [5]).

Czyliż miłość do człowieka złego, miłowanie się z nim, nie musi psuć głęboko? Czy ratując się przed tem zepsuciem, człowiek dobry, nie broni swego prawa do czystości—do zbawienia. Czyliż „bezlitość" odchodzącej nie byłaby uprawnionym ratunkiem jej czystości, jej zdrowia psycho-moralnego—jej cnoty? Tak, odpowie ktoś, ale nie z kochankiem. Napewno—ale czyż tu właśnie, w wypadku Moniki Ileckiej, gdy zamierzała ratować się przed mężem, nie miejsce dla wybaczenia—nie jakiegoś absolutnego, lecz skromnego wybaczenia pobłażliwości?...

Naturalnie, w rozbiorze tym nie idzie o tezę przeciwną suponowanej poprzednio, nie o jakąś bezlitość pyszałkowatą, faryzejską dla ludzi, którzy przestąpili prawo czy moralność. Idzie tylko o kazuistykę w tych sprawach: bo i wybaczenie miewa swoje tajniki bardzo wstydliwe, i niewybaczanie może płynąć z pobudek wznioślejszych, niż prosta uczciwość. Walory teatralne dramatu Nałkowskiej ocenia może w całej mierze ten, co go widział na scenie. Tu wypada jeszcze raz podkreślić jej — (poza finałem)—psychologję, pełną świetnych i subtelnych odcieni. Język prosty, codzienny, wyrazisty. Liryzm niektórych scen, np. owej, kiedy Tomasz staje się dla Moniki już czemś dalekiem, jakby nierzeczywistem, wprost rozdzierający. Śmierć Tomasza z ręki Ksawerego, niby przypadkowo tylko umożliwiona, w istocie nie jest przypadkiem: on nie zginąłby, gdyby się Monika nie była wahała, gdyby — już nie był zmarł — w jej sercu. Dramat Nałkowskiej to teatr poważnej myśli, psychologicznej i moralnej; jest pożądanym objawem w teatrze nie tłumowej i formistycznej, ale dobrej, treściowej, kameralnej kultury.

KAROL LUDWIK KONIŃSKI

---

[3]) Dopóki rzecz toczy się jak samo życie, dopóki zdarzenie jest prawdopodobne, nie ma się potrzeby bezpośredniej — krytyki formalnej; odczuwanie czysto formalne jest tylko zaciekawieniem wtórnem, „luksusowem", lub też naukowem: Jak zrobione jest zdarzenie, że nie widać, iż jest zrobione? Ale jak się zdarzenie załamuje, jak przestaje mieć wygląd prawdy, to wtedy z konieczności jawi się krytyka formy (kompozycyjnej), która zresztą identyczna jest z krytyką treści, i bez zrozumienia treści zdarzenia, nie pojąć, skąd załamanie?

[4]) *Notabene*, w sprawach tego rodzaju nietragicznych, i ten *amor* przebrany za *charitas* nie jest taki tragiczny. Raczej humorystyczny i pożyteczny.

[5]) Inna teza, być może, zarysowująca się w sztuce: Ksawery jest ofiarą wojny, wojna wyzwoliła w nim dzikie instynkty. Fakt taki społecznie prawdziwy i ważny; indywidualnie i estetycznie nieważny: bo po pierwsze, iluż wróciło z wojny dobrymi i delikatnymi, a po drugie, w wypadku Ksawerego na wojnie, nie wiadomo o tem, czy znalazł się w jakiejś sytuacji przymusowej, w którejby wbrew sobie musiał być okrutnym — i od tego czasu... aresztowanie rzekomo podejrzanych było dla niego, jak i dla podobnych typów, zgoła nie tragicznych, ale ordynarnych, tylko sygnałem do przejawienia się sadyzmu!

NA WIDOWNI

Stopniowa „redukcja" chrześcijaństwa. — Zmiana przysięgi. — Jeszcze jedna „reforma" w Konstytucji. — Tydzień Dziecka a Zielone Święta.

NIEPOSTRZEŻENIE, nie zauważone jakgdyby pośród natłoku spraw ważniejszych, dokonywa się stopniowe usuwanie pierwiastków chrześcijańskich z życia polskiego. Fakty pozornie najodleglejsze od siebie, pozornie żadną wspólną ideą nie powiązane, kojarzą się — po bliższem obejrzeniu — w szereg, zastanawiający logiką i planowością.

Oto naprzykład, rozporządzeniem Prezydenta Rzplitej z dn. 19 marca 1928 roku, wprowadzony został, opracowany przez Komisję Kodyfikacyjną, nowy Kodeks Postępowania Karnego. Wydaje się, iż świadomości moralnej i prawnej społeczeństwa bynajmniej nie narzucała się konieczność przerabiania dotychczasowej, od wieków co do istotnej treści nie zmienianej, roty obowiązującej świadków, podczas procesu sądowego, przysięgi. Poprzednio rozpoczynał chrześcijanin od słów:

„Przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu, w Trójcy Świętej Jedynemu..."

Obecnie mówi (art. 111 K.P.K.):

„Przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu i Wszechwiedzącemu, że będę mówił szczerą prawdę, niczego nie ukrywając z tego, co mi jest wiadome. Tak mi Panie Boże dopomóż".

Cicho, bez niebezpiecznego rozgłosu zatrjumfowała rabiniczna myśl Lessingowskiego „Nathana mędrca", głoszącego równouprawnienie i jednakową dostojność moralną trzech monoteistycznych religij (judaizmu, chrześcijaństwa, islamu). Niewielkim kosztem pominięcia Trójcy Świętej osiągnięto tak pożądaną zapewne (z „państwowego" punktu widzenia) jednolitość: temi samemi słowami przysięgać musi obecnie w sądzie chrześcijanin, żyd i muzułmanin.[1]) A ileż taktu, ileż subtelnej delikatności okazali nasi uczniowie „Nathana mędrca" przy dobieraniu określeń Istoty Najwyższej: „Wszechmogącemu i Wszechwiedzącemu"! Gdyby z przyzwyczajenia, pod wpływem poprostu wielowiekowej tradycji chrześcijańskiej przyszło im na myśl wspomnieć np. o Bogu Najmiłosierniejszym, jakąż niewłaściwością byłyby słowa takie w stosunku do współobywateli — wyznawców Talmudu, wyczekujących zjawienia się Mesjasza w „ubiorze zemsty"...[2]).

A oto znowu drugi fakt, nie mniej dający do myślenia: Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem, po długi czas trwających dyskusjach i zapowiedziach, złożył w Sejmie przygotowany przez siebie projekt naprawy Konstytucji. W przemówieniach, w prasie, w książkach i broszurach propagandowych ustawicznie powtarzane są i przypominane przewodnie ideje zamierzonej przez obóz rządzący reformy: „nadrzędność Prezydenta Rzplitej", „wzmocnienie władzy wykonawczej", „ograniczenie immunitetu poselskiego"... Zaś wśród tych spraw, o których tak wiele i głośno się mówi, w cieniu zostaje uboczny, nieprzypominany przezornie przez wnioskodawców szczegół urzeczywistniającego ową „nadrzędność" projektu: usunięcie dotychczasowego Wstępu do Konstytucji, poczynającego się od słów „W imię Boga Wszechmogącego"...

Od tysiąca lat obchodzony na ziemiach polskich dzień Świąt Zielonych zakłócany był w roku bieżącym reklamą „tradycyjnego" — jak twierdzi „Gazeta Polska" — Tygodnia Dziecka, uzupełnionego ponadto (o wszystkiem pomyślano!) Świętem Matki. „Dzień 26 maja przeznaczony został na „Święto Dziecka". W dniu tym p. minister oświaty zwolnił od zajęć szkolnych dzieci ze szkół powszechnych oraz trzech niższych klas gimnazjalnych" („Gaz. Polska" nr. 133).

W imię „produkcji", w imię konieczności walki z nieróbstwem „redukowano" u nas przed kilku laty uroczyste święta katolickie: ósmego września, w dzień Matki Boskiej Siewnej, tak pobożnie przez tyle pokoleń polskich świętowany, maszerują teraz dzieci do szkół, dźwigają ciężkie tornistry, „kują" pochylone nad książkami, gryzmolą w kajetach zadania... Ale zato w „cywilne święto", przez kogoś tam w Genewie zaproponowane, nauka przerywa się z namaszczeniem, a sztubaki — w myśl nowo obmyślonego rytuału — odbywać muszą „cywilną", męczącą w skwarne dni procesję: „26 maja delegacja dzieci szkół powszechnych oraz średnich uformuje w Saskim ogrodzie pochód, który przejdzie przez miasto ulicami: Marszałkowską, Al. Jerozolimskiemi, N. Światem, Krak. Przedm." („Gazeta Polska", *ibid*).

Harmonijnie łącząc wzbierającą w sercu miłość do dziecka tudzież interes handlowy, właściciele sklepów z zabawkami wystawiają w oknach dostarczone przez kogoś plakaty, wyobrażające dziewczynkę z piłką w ręku i opatrzone napisem: „Wasz jest cały rok — Mój tylko jeden dzień—26 maja — Święto Zabawki". Zdawało mi się, że istnieje taki zwyczaj: 24 grudnia, w wielkie święto Narodzenia Bożego Dzieciątka, pod choinką roziskrzoną świeczkami, w blasku złotej, Betlejemskiej Gwiazdy odnajduje dziecko podarki — zabawki, w tajemnicy przedtem czyjąś ręką pod ozdobnem, pachnącem żywicą drzewkiem poukładane. Nigdy, przyznam się, nie odczuwałem potrzeby, aby data tego „jednego tylko dnia" w roku, miała ulec — jak to głosi plakat — przeniesieniu. Jest wszelako w Państwie zgórą trzy miljony „współobywateli", którym dzień Bożego Narodzenia żadnych przecież wspomnień takich na pamięć nie może przywodzić...

Ale tutaj mieści się też pewnie wytłumaczenie pełnego serdeczności poparcia, jakiego „Tygodniowi dziecka" udziela p. minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego, dr. Sławomir Czerwiński. Tu wyjaśnienie godnej uwypuklenia tkliwości, z jaką tak w sprawy wielkiej polityki wciągnięta, referentka budżetu Min. spraw zagr. w Senacie, senatorka z klubu BB p. Hubicka, nie zawahała się stanąć jako przewodnicząca na czele Stołecznego Komitetu „Tygodnia Dziecka". Nie było to ulegnięcie miękkości serca, odruch sentymentu, ale planowe, jedną myślą, świadomą celu, kierowane wykonywanie określonego programu. Znowuż nieoceniona „Gazeta Polska" (nr. 133) ujawnia program ten w sposób nieco dokładniejszy:

„W zakładach zamkniętych, przedszkolach, w dniu „Święta Dziecka" odbędą się miejscowe uroczystości, wzajemne wizyty, wspólne zabawy, organizowane przez poszczególne instytucje opiekuńcze, „Osiedle", „Patronat na

[1]) W rocie przysięgi dla mahometan (art. 112 K.P.K., § 2) tekst rozpoczyna się od słów: „Przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu i Wszechwiedzącemu przed Świętym Jego Koranem..." i t. d., j. w. Jednakże „Użycie „Koranu" do ważności przysięgi nie jest konieczne" (art. 112 K.P.K., § 2).

[2]) *„Le livre du Zohar" pages traduites du chaldaique par Jean de Pauly, Paris, F. Rieder et Cie, 1925*, str. 271.

dziećmi więźniów", „Ligę Opieki nad Dzieckiem opuszczonem", „Tow. Przyjaciół Dzieci Wyznania Mojżeszowego", „Tow. Opieki nad Niemowlętami", „Robotnicze Tow. Przyjaciół Dzieci", „Związek Tow. Opieki nad Sierotami Żydowskiemi" itp."

„Wzajemne wizyty"... „Wspólne zabawy"... „Tow. Przyjaciół Dzieci Wyznania Mojżeszowego"... „Związek Tow. Opieki nad Dziećmi Żydowskiemi"... Czyż nie czujecie tu wyraźnie powiewu myśli „państwowej", czyż nie rodzi się jakieś nowe święto „państwowe", wolne od dotychczasowych wyłączności, religijnych oraz narodowych?

Zaś owa pojemność serca, jednakiem umiłowaniem ogarniającego każde dziecko „państwowe", nagrodzona jest równą jej potęgą myśli twórczej, swobodnie rozwijającej skrzydła, nieskrępowane „przesądami" i odważnie kierującej lot swój ku coraz nowym, coraz wspanialszym zdobyczom. Jakaż śmiałość, oryginalność pomysłów w owych rewelacjach, które Komitet „Tygodnia Dziecka" niemałym kosztem rozplakatował na ulicach stolicy: „Każde dziecko winno być kształcone. Dziecko głodne — nakarmione. Dziecko chore — pielęgnowane"... Któraż matka byłaby się domyśliła przedtem, że tak trzeba?..

— — — — — — — — — — — — —

W roku bieżącym, jak się o tem wspomniało wyżej, początek „Tygodnia Dziecka" przypadł właśnie na pierwszy dzień uroczystości Świąt Zielonych. Bez komitetów, bez plakatów, prasy, propagandy, bez specjalnej organizacji i kredytów, Warszawa, tak jak corocznie, umaiła się mnogością zielonych gałęzi: w bramach domów, u kozłów dorożkarskich, nawet u drzwiczek taksówek. Zieloność ta nadawała oblicze miastu, zasłaniając rozlepiane na rogach ulic odezwy i afisze. Odświętną, wiosenną strojnością zieleni modliła się, odwiecznym zwyczajem, Warszawa, błagając darów Ducha Prawdy, Ducha Pocieszyciela. Jakże bardzo potrzeba ich dzisiaj, wśród panoszącej się coraz bezczelniej obłudy, wśród straszliwej pustki, jałowizny naprzekór Prawdzie kombinujących mózgów i organizacyj. *Veni Creator Spiritus!...*

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

NAPAD NA NOWACZYŃSKIEGO

WE WTOREK, 26 maja, w teatrze Polskim podczas antraktu bojówka młodzieży sanacyjnej napadła na przechadzającego się Adolfa Nowaczyńskiego. Jeden z młodzieńców, zanim otoczenie się spostrzegło, zdołał uderzyć Nowaczyńskiego pięścią w oko, właśnie w to oko, które już przed paru laty podczas zbójeckiego napadu na ul. Złotej uległo kalectwu. Sprowadzona policja spisała protokuł. Czy i kiedy sprawcy pociągnięci będą do odpowiedzialności, czas pokaże. Tamtych z ul. Złotej nie wynaleziono; tutaj złoczyńcy byli schwytani i protokuł miał świadków.

Napastnicy działali podobno, jako reprezentanci Legjonu Młodych. Zamiarem ich pewno było ostateczne oślepienie znakomitego pisarza, aby mu udaremnić dalszą pracę.

Nowej serji napadów zbójeckich należałoby w jakiś sposób zapobiec. Nie można pogodzić się z prowokowaniem stałem społeczeństwa polskiego w imię „pogłębiania rewolucji", do którego nawołuje prasa sanacyjna. Trzebaż raz wymusić z „rewolucjonistów" wyznanie prawdy, w imię czego wzniecić chcą walkę domową, w czyim interesie, dla kogo to robią. Czy to w interesie Polski ma leżeć terroryzowanie opinji publicznej?

Nie można tolerować bez końca łobuzerki. Kiedy kilku bandytów wyrwie się na arenę publiczną i okrzyknie walkę z „reakcją i szowinizmem" obozu narodowego, to nie jest „program", dający się tolerować w społeczeństwie europejskiem, zwłaszcza gdy mu towarzyszą pokrzykiwania o „pogłębianiu rewolucji". Czy to w Polsce wolno będzie odtąd każdemu zapowiadać rewolucję i wykonywać ją za pomocą zbójeckich napadów na wybitnych przedstawicieli narodu?

Społeczeństwo, wzburzone do głębi ostatniem zdarzeniem, wyraża zasłużonemu pisarzowi współczucie, a te kondolencje, składane Nowaczyńskiemu, dyktowane są w dużym stopniu uczuciem wstydu, że podobne okazje wyrażania sympatji mogą w wolnej Polsce się zdarzać — i to tak często.

O HIERARCHJĘ CZYNNIKÓW WYCHOWAWCZYCH

Od dr. Stanisława Cywińskiego otrzymujemy cenny artykuł dyskusyjny w sprawie wychowania. Dr. Cywiński, znany historyk literatury, jest profesorem gimnazjum państw. im. Kr. Zygmunta Augusta w Wilnie, docentem uniw. Stefana Batorego i członkiem Zarządu Głównego Tow. Naucz. Szkół Wyższych (1924—26 i 1929—31).

ZASADNICZYM błędem dyskusji [1]), która się od pewnego czasu u nas toczy na łamach pism pedagogicznych i innych, w literaturze specjalnej, na rozmaitych kursach, urządzonych przez M. W. R. i O. P., oraz na *forum* publicznem, dyskusji o istocie wychowania państwowego oraz o jego stosunku do innych typów wychowania, — jest, mojem zdaniem, brak podstaw filozoficznych, przedewszystkiem zaś brak ustalonej zasady hierarchji pojęć, która, gdyby została choć raz postawiona, winnaby nieledwie automatycznie uregulować nasze w tej dziedzinie poglądy. Tymczasem, wydaje mi się, od tego należało zacząć dyskusję. Tak przynajmniej myśli człowiek, stojący na gruncie katolicyzmu, tego — chyba niezaprzeczenie — najbardziej konsekwentnego poglądu na świat.

Prawda, że śród Polaków spotykamy także nie — katolików, ale naród polski, jako formacja kulturalna, jako produkt dziejowy, — jest w całości katolicki, i o tym fakcie niewolno zapominać, owszem odeń należy rozpoczynać wszelkie rozważania o charakterze kulturalnym.

Prawda dalej, że każde nowe pokolenie, a więc i dzisiejsze, ma prawo i obowiązek zajmować własną postawę twórczą wobec życia duchowego narodu, ale to coraz to nowe nastawienie polskiej kul-

[1]) Od pewnego czasu na łamach „Przeglądu Pedagogicznego", organu T. N. S. W. (T-wa Naucz. Szkół średnich i wyższych), toczy się dyskusja w sprawie podstaw wychowania w Polsce. Redakcja „Przeglądu Pedagogicznego" nie uznała za możliwe wydrukować tych moich uwag. Sądzę jednak, że obecnie (dzięki uprzejmości „Myśli Narodowej") skłonię „Przegląd Pedagogiczny" i wogóle sfery nauczycielskie do dyskusji o stosunku wychowania religijnego do innych jego, typów. W artykule poniższym drukuję kursywą te ustępy, których nie zawierał tekst, przesłany do „Przeglądu Pedagogicznego". (S. C.)

tury, przynajmniej w dziedzinie religijnej, winno być jeno pogłębieniem i ugruntowaniem zdobyczy tysiąclecia, które w zasadzie zmianom nie mogą podlegać. Przynajmniej dla człowieka, co patrzy na katolicyzm nie jako na sumę mniej lub więcej miłych nałogów i przyzwyczajeń, ani też jedynie jako zespół pewnych etycznych nakazów, lecz jako na Prawo Najważniejsze, nadane człowiekowi przez Boga, jako na Źródło wszystkich bez wyjątku przejawów życia duchowego na ziemi, wydaje się ponad wszelką wątpliwość sprawą jasną, że nawa kultury naszej, która ominęła rafy reformacji, racjonalizmu, romantyzmu i pozytywizmu, oraz zakusy eksterminacji duchowej ze strony państw zaborczych, — winna i nadal płynąć w dobroczynnym prądzie wiary katolickiej, strzegąc się czujnie niebezpieczeństw socjalizmu, komunizmu, oraz wszelkiej innej postaci autokracji państwa, przed czem słusznie ostrzegał nas prof. Chrzanowski u samego progu naszej państwowości [2]).

Jasne więc chyba, że obchodzące nas tu zagadnienie wychowania winniśmy przedewszystkiem rozpatrzeć w świetle religji katolickiej: Katolicyzm bowiem — to nie religja państwowa, całkowicie podporządkuwująca się utylitarnym celom danej społeczności, to nie latarka, ułatwiająca jedynie poszczególnym osobistościom wędrówkę doczesną, lecz raczej słońce duchowe, nadające śmiało i zdecydowanie sam kierunek drogi żywota wiecznego i czasowego, tak pojedyńczym jednostkom, jak i całym społeczeństwom, państwom i narodom. I tu wyboru niema: albo trzeba z tą podstawą katolicyzmu się zgodzić i jej się poddać, albo zdecydowanie katolicyzm zwalczać, bo katolicyzm z samej swej istoty religji uniwersalnej nie dopuszcza pod tym względem kompromisu. Jest on bowiem względem poszczególnych społeczności tem, czem jest państwo w stosunku do swych obywateli: tak jak tu każdy obywatel może mniej lub więcej intensywnie państwu służyć, ale nie może w niczem ogólnym celom państwa się sprzeciwiać, podobnież w społeczności katolickiej żadna funkcja życia zbiorowego nie może się mijać z ogólnemi założeniami moralnemi Katolickiego Kościoła. Przynajmniej dla katolika jest to prawdą nie wymagającą uzasadnienia, gdyż, jakkolwiek odróżniamy aktualne polityczne posunięcia Kościoła od Jego celów wieczystych, to te ostatnie, płynąc ze źródeł nadprzyrodzonych, obowiązują nas bez porównania silniej, niż wszelkie inne nakazy bądźto społeczne, bądź państwowe.

Z tego więc względu pierwszym warunkiem rozwoju szkolnictwa w Polsce jest, by było ono wyraźnie wyznaniowe. Szkoła winna być, wobec dzieci katolickich, pomocna Kościołowi w Jego wielkich zadaniach wychowawczych. Stąd (o czem będę jeszcze mówił poniżej) wydaje mi się, że najlepiej temu zadaniu sprosta szkoła pod względem wyznaniowym jednolita, skupiająca uczniów jednego tylko wyznania, *gdyż jedynie w tym wypadku zagadnienia religijne, poruszane na lekcjach histrji lub literatury, są pozbawione momentów drażliwych*.

Rola czynnika drugiego w wychowaniu, który można ująć wyrazem: ojczyzna, jest dostatecznie określona przez ducha nauki katolickiej, która ma na celu nietylko indywidualne, ale także i społeczne zbawienie wiernych. Naczelna wartość ideowa naszej wielkiej poezji zasadza się zresztą przedewszystkiem na rozwinięciu tezy, *ujętej lapidarnie przez Norwida: „ludzkość bez Boskości sama siebie zdradza"*. Patrjotyzm, nie czerpiący sił z religji, staje się zaprzeczeniem samego siebie, wywołując nieuchronnie walkę jednostki ze społeczeństwem. („Dziady III"). *Podobnież Słowacki niebywale treściwie kondensuje ten problem w „Pamiętniku": „Liczba dwóch jest liczbą rozdziału, a żadnej równowagi ani na chwilę nie przypuszcza; liczba dopiero Trójcy globową jest i ubezpieczającą" (wyd. lwowskie X, 464 i 363)*.

Samo jednak pojęcie ojczyzny jest bardzo szerokie, będąc wspólnym mianownikiem takich elementów, jak: a) ziemia ojczysta; b) ogół obywateli kraju, jednak w pierwszym rzędzie ci, którzy tworzą kulturę narodową, czyli naród; c) ta właśnie kultura, tradycja, historja, sztuka i nauka; wreszcie d) państwo. Jasną jest rzeczą, że szkoła winna utwierdzić w duszach dzieci miłość ojczyzny w tej czworakiej postaci, które, tworząc wspólną całość, uzupełniają się i wzajem wspierają. Jedyną trudność w tej dziedzinie budzi wychowanie dzieci mniejszości narodowych, w których duszach miłość ojczyzny przeważnie nic nie ma wspólnego z przywiązaniem do państwa.

W tem miejscu powstaje pytanie co do hierarchicznego stosunku niektórych składników zbiorowego pojęcia: ojczyzna. Z kardynalnych wartości katolicyzmu: duchowości i wolności, z oczywistością wynika, że duchowy i na wolności oparty związek narodowy jest formą organiczną, więc *eo ipso* wyższą, niż materjalna, oparta na przymusie forma państwowa. Zresztą we wszystkich bez wyjątku (około dwudziestu) powstałych w ciągu ostatniego wieku państwach w Europie, państwo jest tylko atrybutem panującego narodu, co jest największą zdobyczą czasów nowoczesnych i skutkiem przedewszystkiem odmaterjalizowującej kultury chrześcijańskiej, oraz demokratyzacji równocześnie. Stąd możemy wysnuć w stosunku do Polski wniosek konkretny, mający zastosowanie także w wychowaniu, że wszystko, co wzmacnia naród polski — wzmacnia też nasze państwo, tembardziej że żadna z mniejszości narodowych nie weszła w skład naszego państwa dobrowolnie [3]).

Wreszcie zagadnienie ostatnie:

Problem wolności w wychowaniu, winien być rozstrzygnięty zgodnie z zasadami religji, przy wtórnem dopiero uwzględnieniu interesów państwa. Zagadnienie to dotyczy przedewszystkiem indywidualności ucznia, którą dzisiejsza szkoła, więcej niż jakakolwiekbądź dotąd, stara się uwzględnić, zresztą przy przyjęciu pewnego nieuniknionego dogmatyzmu, natury tak religijnej, jakoteż narodowej i państwowej. Następnie wolność ta winna dotyczyć rodziców, których praw do dziecka nikt nie może kwestjonować, dalej właścicieli szkół, dyrektorów i nauczycieli wreszcie, *wobec których wszelkiego rodzaju nacisk polityczny jest rzeczą nawskroś niemoralną, uwłaczającą godności tak przełożonych, jakoteż podwładnych*.

[2]) „Idea kultury średniowiecznej a chwila obecna", w zbiorze „Wśród zagadnień, książek i ludzi"; *nicuje tu autor w szczególności przewrotne hasło, zdobywające dziś w Polsce, niestety, prawo obywatelstwa: „Wszystko dla państwa, nie wyłączając nietylko szczęścia jednostki, ale i jej — sumienia"* (str. 41).

[3]) *My, Polacy, nadczuli na krzywdę innych, wiemy dobrze, że krzywdą innych narodowości naogół nikt się nie utuczy: ale, niestety, często nie pojmujemy, że wzmocnienie polskości nietylko nie musi iść w parze z krzywdą innych, ale nawet, pośrednio — przez wzmocnienie państwa — może się stać dobrodziejstwem dla mniejszości.*

Zdaje mi się jednak, że ten postulat wolności, który jest koniecznym warunkiem twórczości i postępu, może się zrealizować w szkolnictwie dopiero wtedy, kiedy ono w całości stanie się prywatne, zaś rola państwa ograniczy się do kontroli i, co najwyżej, do t. zw. kursów instruktorskich[4]). Tylko bowiem szkoły prywatne mogą być zupełnie jednolite, tak pod względem religijnym, o czem była już mowa, jakoteż pod względem ogólnych metod wychowawczych. Wreszcie tylko w szkole prywatnej dyrektor ma prawo stosować zasadę indywidualnego doboru nauczycieli, chociażby z punktu widzenia polityki. Natomiast w szkole państwowej, która dziś jest jeszcze, niestety, *malum necessarium*, niwelacja zawsze zabijać będzie prawdziwą twórczość, i na to niemasz, jak się zdaje, rady.

STANISŁAW CYWIŃSKI

[4]) *Wśród nader licznych, dotąd urządzanych przez nasze Ministerjum W. R. i O. P., kursów, było już kilka poświęconych t. zw. wychowaniu państwowemu, ale, o ile wiem, nie było dotąd ani jednego, uwzględniającego wychowanie religijne, aczkolwiek wice-ministrem Oświaty jest kapłan katolicki.*

NAUKA I LITERATURA

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Młoda polonistka dr. Wanda Brzeska wydała w Poznaniu bardzo ważny przyczynek do życiorysu Jana Kasprowicza w książce p. t. „Lata szkolne Jana Kasprowicza. Inowrocław 1872—1879". (Bibl. 120, t. XIII. Str. 127 z ilustr.). P. Brzeska ogłosiła kilka nieznanych dotąd dokumentów: 1) pierwszy portret Kasprowicza (dagerotyp), 2) zeszyt pierwszych utworów, z których 15 wcale nie znanych, 3) egzemplarz „Konrada Wallenroda" z zakreśleniami młodego poety, 4) Wspomnienia szkolne kolegi, Józefa Ulatowskiego, 5) Zeznania osób jeszcze żyjących o tych czasach szkolnych, 6) Archiwum kółka uczniowskiego. Pozatem opracowania p. Brzeskiej, zestawienia, życiorysy. Rzecz zrobiona z pietyzmem i umiejętnie, zasługująca na głębokie uznania. Wrócimy do tej pięknej książki, aby z nią bliżej czytelników zaznajomić. (Z. W.)

*

„Księgę pamiątkową jubileuszu św. Augustyna" (księgarnia św. Wojciecha w Poznaniu) redagował ks. dr. Stanisław Bross, zasłużony już poprzednio, jako wydawca pięknego zbiorku „Myśli" Augustynowych. Sam redaktor zamieścił tu rozprawę o „Idei pokoju u św. Augustyna", wskazującą, ile biskupowi hippońskiemu zawdzięczają we wspomnianym względzie wieki potomne. Oddziaływaniem myśli św. Augustyna na potomnych zajęli się ponadto ks. Czuj i ks. Sawicki, z których drugi nie waha się nazwać świętego „pierwszym człowiekiem nowożytnym": ta „nowożytność" ujawniła się nietylko w poglądach, ale i w sposobie ujmowania zagadnień, a także i w formie literackiej. Autor „*Confessiones*" wart jest głębszych obserwacyj psychologicznych i charakterologicznych; spotykamy je w rozprawie ks. Korzonkiewicza „O św. Augustynie jako człowieku i typie". Kwestją przełomu duchowego, jaki się dokonał w młodym hulace i heretyku, a późniejszym Doktorze Kościoła, zajmują się ks. Krawczyk („Duch św. Pawła u św. Augustyna") i ks. J. Kruszyński („Drogi Opatrzności w życiu św. Augustyna"). Kwestjami filozoficznemi zajął się ks. Pastuszka i ks. Suszyński. Cała księga odznacza się nastrojem podniosłym i poważnym, a obok przystępności nosi na sobie znamię głębokiej wiedzy. (J. B.)

*

Oba zeszłą jubileusze, święcone w roku zeszłym przez cały świat cywilizowany, odbiły się i u nas silnem echem, które stwierdziło naszą przynależność do cywilizacji łacińskiej i chrześcijańskiej. Trwałą pamiątką tych obchodów są rozliczne — często bardzo cenne publikacje, które się u nas pojawiły.

Wergiljuszowi poświęcono u nas aż trzy zbiorowe księgi, z których jedną opracowali profesorowie i studenci „*Almae Matris Vilnensis*", drugą („*Commentationes Vergilianae*") Polska Akademja Umiejętności, trzecią (jeszcze z niewiadomych powodów nie wydaną) lwowska centrala Polskiego Towarzystwa Filologicznego. W księdze wileńskiej—prócz omówionej tu już rozprawki prof. Pigonia, zasługują na uwagę prace: Glixellego „Wergiljusz i Mistral", Gostkowskiego „Kobiety u Wergiljusza" Kolbuszewskiego „Alojzy Osiński jako tłumacz Eneidy"; dla bibljografów cenne są wiadomości o wydaniach i przekładach Wergiljusza, dokonanych różnemi czasy na terenie Wilna. — Księga krakowska, ofiarowana rodzinnej siedzibie Wergilego, Mantui, pisana jest cała po łacinie; jedynie obszerna rozprawa prof. M. Popławskiego o IV eklodzie podana jest w zasadniczym tekście po polsku. Rozprawa ta, bardzo obszerna, zajmuje się nietylko analizą tekstu, wyjaśnieniem genezy szczegółów, kwestją kompozycji, ale i ideą zasadniczą poematu; dostrzega ją autor w „gloryfikacji człowieczeństwa". Bukolikami zajmuje się też Jerzy Kowalski, za szczególny temat swej rozprawy biorąc kwestję miłości i przyjaźni — często mylnie dotąd interpretowaną. Z innych rozpraw na uwagę zasługuje zwłaszcza podana przez S. Skiminę wiadomość o studjach wergiljańskich na uniwersytecie Jagiellońskim w XVI w. (J. B.)

*

Studjum Heleny Cichoczewskiej, sekretarki Urzędu Konserwatorskiego p. t. „Cmentarzysko w Poczerninie", z mapami w tekście i 16-stoma tablicami, zostało jako odbitka „Rocznika Towarzystwa Naukowego w Toruniu", wydane nakładem tegoż Towarzystwa Naukowego. Dowództwo Okr. Korpusu w Toruniu doniosło w lipcu 1928 roku Urzędowi Konserwatorskiemu w Poznaniu, że na terenie ćwiczeń, należącym do wojskowego obozu letniego w Letniewie, pow. morski, natrafiono przy kopaniu rzutni granatów na cmentarzysko przedhistoryczne. Wnet rozpoczęto rozkopywanie całego terenu i dzięki opiece generała i pułkownika, z pomocą przebywającego tam wówczas oddziału kadetów z Chełmna, zbadano 36 miejsc, zawierających zabytki z przed wielu wieków. Teren ten znajduje się w trójkącie, którego boki tworzy z jednej strony zatoka pucka, z drugiej otwarte morze. Groby cmentarzyska to, wedle terminologji archeologicznej, skrzynkowe, obwarowane, stożkowe i jeden kloszowy. Zawierały urny, naczyńka, przystawki, bransoletki, szpile, kółka i druciki. Tak groby jak i znalezione w nich przedmioty świadczą o oddziaływaniu na siebie dwóch kultur, germańskiej i łużyckiej. Cmentarzysko przypada na okres halsztacki i przedrzymski. Sprawozdanie p. Cichoczewskiej napisane jest treściwie, zwięźle i objektywnie. Autorka obeznana jest z literaturą fachową, niemiecką, czeską i polską. W zakończeniu książki cytuje szereg dotyczących Pomorza dzieł pomocniczych. Z polskich Godfryda Ossowskiego „Prusy Królewskie", Aleksandry Karpińskiej „Pomorze siedzibą ludności prasłowiańskiej", prace Józefa Kostrzewskiego, Ireny Sawickiej i Ks. K. Chmieleckiego. (A. W.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

P. André Malvil, autor „*Septentrion et les Rois*" ujął w swojej ostatniej powieści wielki i głęboki problem śmierci. Temu studjum poświęca on właściwie swoją książkę p. t. „*La grande ourse*", którą francuska prasa przyjęła z dużem zainteresowaniem. P. Malvil przedstawia w niej historję człowieka starszego, który po całym szeregu perypetyj miłosnych i najrozmaitszych przejść życiowych znajduje się na rozdrożu, filozoficznem i moralnem. Doprowadziła go do tego śmierć ukochanej kobiety. Wówczas cierpienie i medytacja dokonują powoli w duszy jego ewolucję, która tego sceptyka doprowadzi najpierw do rozmyślań głębokich, a potem do nawrócenia. Etapy jego autor przeprowadził z dużą znajomością psychologji, zwłaszcza, że dał im również i odpowiednie ramy. Dzięki nim też ten dramat duchowy występuje z całą wypukłością i siłą. (I. B.)

*

P. Franz Toussaint wydaje książkę pod zagadkowym tytułem „*Moi, le mort*"... Akcja tego dramatu rozgrywa się po części w Afryce, a po części w Paryżu. Tutaj bowiem żyje pułkownik de la Tour, którego córka, Marie Claire zaręcza się z młodym oficerem, Braine. Kocha się jednak w niej także i przyjaciel tego ostatniego, Gertal. Obydwaj oni, wysłani do Afryki, zostają zaatakowani przez znane plemię Tuaregów. W krytycznej chwili, kiedy Gertal ma zostać wzięty przez tych ostatnich do niewoli, uśmierca się strzałem z rewolweru, a jego ciało, przywiązane do wielbłąda zabierają afrykańczycy. Po tym dramatycznym epizodzie, Braine powraca do Francji, aby poślubić Marie-Claire. Jednakowoż, dziwnym zbiegiem okoliczności, pułkownik de la Tour dostaje pewien dokument, który odcyfrowany wyjawia, iż Gertal żyje w centrum Afryki. Po tej rewelacji tłumacz tego dokumentu zostaje znaleziony nieżywy w swoim hotelu: cały szereg innych tajemniczych zdarza się wypadków. Pułkownik de la

Tour wraz ze swą córką postanawiają zorganizować ekspedycję, celem uwolnienia Gertal'a, jakkolwiek Braine czyni wszystko, co może, by ich od tego projektu odwieść. Odnajdują oni rzeczywiście Gertala, który stał się rodzajem potężnego szefa jednego z plemion afrykańskich i zaparł się poniekąd swojej ojczyzny. Uczynił zaś to po straszliwem postępku swego towarzysza Braine, który w owym ataku, powodowany zazdrością, chciał go uśmiercić. Ten cały dramat, pełen różnorodnych przygód, czyta się z dużą ciekawością, gdyż autor posiada rzeczywisty talent w nawiązaniu i rozwiązaniu przygód swoich bohaterów. (I. B.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

WIOSENNĄ wystawę w Zachęcie nazwano wielką (patrz katalog i plakat); ponieważ mamy tu do czynienia z tą samą ilością sal i obrazów, co zwykle, wielkość można pojmować tylko w znaczeniu przenośnem. Czy epitet ten jest słuszny, to jeszcze pytanie, w każdym razie zbyt pośpiesznie zaczęto się nim częstować. Pewne zmiany na lepsze dają się zauważyć, zmiany w sensie zgęszczenia sita *jury*, przepuszczającego obrazy na wystawę. Widocznie jednak sito ma i dziury, gdyż, obchodząc salę, nieraz stajemy przed jakimś „landszaftem", zdumieni, jakim sposobem mógł tu się pojawić? Trzy sale mniejsze, znajdujące się w jednym rzędzie, wyglądają wcale przyzwoicie, natomiast wielka, t. zw. honorowa i druga naprzeciw niej leżąca — znacznie, ale to znacznie gorzej. W „honorowej" spotykamy wielu starych i niezawsze mile widzianych znajomych; ma się wrażenie, iż członkowie *jury* zbyt pobłażliwi są czasami dla malujących przyjaciół, krewnych, znajomków, no i dla siebie samych. W sali na *vis à vis* zawieszono, na szczęście dość wysoko, obraz p. Szyndlera p. t. „Wygnanie z raju". Autor farbą i pendzlem stara się nam obrzydzić naszych prarodziców, nie wiedząc może, że za takie figle samby również długo w raju nie popasał.

Po tych kilku wstępnych zastrzeżeniach, które, mam nadzieję, wezmą pod uwagę panowie z *jury*, przejdźmy z kolei do omówienia rzeczy najlepszych, oraz dobrych. Do nich należą przedewszystkiem: kolekcja prac Wyczółkowskiego i obrazy A. Bunscha.

Sędziwy mistrz wystawił szereg rysunków i litografij, odtwarzających ulubione przez niego motywy architektoniczne i pejzażowe, wśród których nie brak z taką pasją notowanych fragmentów puszcz i gęstwy leśnej. W związku z pracami Wyczółkowskiego chciałbym powiedzieć parę słów o technice. Dużo się mówi dziś o jej przeroście i widzi się w tem pewne niebezpieczeństwo: poszukiwania techniczne spychają podobno na drugi plan pracę nad pogłębianiem i innych wartości dzieła. Wobec tego skreślmy, cobyśmy rozumieli pod słowem: technika. Technika jest umiejętnością używania materjału, jakim się posługuje artysta, a także zręcznością ręki. Wyczółkowski posiada znakomitą technikę. Ci, którzy protestują, (często słusznie) przeciw jej dzisiejszemu rozpanoszeniu się, jednocześnie są wielbicielami Wyczółkowskiego (któż nim nie jest?). Może więc wartość dzieł Wyczółkowskiego nie pozostaje w związku z ich techniką?

Wyobraźmy je sobie, pozbawione walorów technicznych. Czy byłby to inny Wyczółkowski, lecz t a k s a m o dobry? Nie, znacznie gorszy. Zamaszystość i pewność kreski, kładzionej dłonią artysty, łączy się ze swadą wymowy plastycznej, a ta ostatnia ma swe źródło w temperamencie. Różnorakie są wartości dzieła, z różnorakich powstałe właściwości talentu, zrośniętych ze sobą, i nie można ich rozdzielać, gdy się chce zrozumieć artystę i ocenić sprawiedliwie jego pracę.

Adam Bunsch zasługuje na baczną uwagę nietylko ze względu na swój talent, dużą wiedzę rysowniczą i malarską, lecz przedewszystkiem z powodu odrębnego całkiem stanowiska, jakie malarz wśród plejady artystów zajmuje. Nie wystarcza mu namalowanie dobrego obrazu, chce on ponadto w prostokącie płaszczyzny zamknąć pewną treść. Niektórzy nazywają to literaturą i boją się tego jak ognia, jest w tem wiele przesady—każda ze sztuk może zawierać w sobie pierwiastki innych. I malarz ma nietylko prawo ukazywać, ale i wyrażać coś i opowiadać; ponieważ Bunsch wysławia się językiem rodowitego plastyka, więc wszystko jest w porządku. Jak już powiedziałem, Bunsch rysuje bardzo dobrze i lubi jasno określać kształt, to samo zdecydowanie cechuje jego zestawienia barwne, są one szlachetne i często wyszukane, jednak łatwo je nazwać. Stąd wpływa dekoracyjność obrazów Bunscha; przez rozbicie dużych, zbyt jednolitych płaszczyzn barwnych drobnemi maźnięciami pendzla, malarz powraca znów w dziedzinę farby olejnej. Kompozycja „Przebudzenie" należy do najlepszych dzieł na wystawie.

W tej samej sali mamy do zanotowania rasowe prace malarskie Bartoszewicza i Marylskiego. Wydaje mi się, że technika powinna być dobierana odpowiednio do tematu, co nieraz potęguje ekspresję. Otóż w „Portrecie" Bartoszewicza, wyrazistość i ostrość rysów osoby portretowanej możnaby lepiej podkreślić przez technikę bardziej współczesną od, niewątpliwie szlachetnej, lecz nadto już muzealnej, użytej przez malarza. Drugi obraz B., kompozycja religijna, robi wrażenie studjum do większej pracy i posiada wszystkie zalety malarskie, wyniesione ze znakomitej szkoły prof. Pruszkowskiego.

Marylski w portrecie damy, dobrze upozowanym, nie zerwał zasadniczo z techniką Krzyżanowskiego.

Trzy portrety wystawił także St. I. Witkiewicz. Lubił on zaskakiwać publiczność różnemi sztuczkami; prace obecne, poza pewnemi akcesorjami, odznaczają się bogobojną poprawnością. Oto np. jakaś dama huśta się na chmurach, za nią z poza obłoczka wygląda starszawy jegomość. Żeby takie paniusie oglądać, nie trzeba się drapać na chmury — dosyć ich chodzi po ziemi. A może w tem jest jakaś myśl ukryta, aby człowiek wyglądał jaknajnormalniej, a wokół działy się cudeńka? (bo i na innych portretach widzimy to samo). Kto ma czas i ochotę, niech się nad tem zastanowi, ja jestem zanadto zajęty.

Są i pejzaże. Rupniewski umie malować akwarelą, powinien teraz zwrócić większą uwagę na kompozycję odtwarzanych fragmentów. Dybowski dał trzy pejzaże, świadectwa nieustannej pracy artysty nad sobą. Z porównania prac E. J. Kaniewskiego widać, że malarz łatwiej sobie daje radę na małej płaszczyźnie. Jego kompozycje litograficzne należą do najlepszych w dziale grafiki, natomiast obrazy — niewytrzymane w całości. Szczygliński nie zawsze może się powstrzymać od kolorkowania i mniej szlachetnych efektów. Uziembło w „Brzozowym gaju" — trudny do zniesienia. (W. P.)

*

W Salonie Cz. Garlinskiego wystawił Zygmunt Grabowski. Malarzy naszych możnaby podzielić pod pewnym względem na trzy grupy: jedni nie mają nic wspólnego z malarstwem paryskiem, drudzy są z niem w kontakcie, posiadają jednak dużą dozę krytycyzmu i... własnej indywidualności, wreszcie ostatni naśladują je z upodobaniem. Do tych właśnie należy Z. Grabowski. Do tych właśnie należy Z. Grabowski. Podobają mu się cudze szatki, to też chętnie w nie się stroi, a ponieważ jest inteligentny i kulturalny, umie tak je przykroić, że wyglądają jak na niego uszyte. Prace malarskie Gr. to trjumf farby, artysta nie poszukuje zdecydowanych i wyraźnych form, ani ich na płaszczyźnie obrazu nie organizuje, jeżeli interesuje go jakaś zależność wzajemna, to tylko zestawień barwnych. Jest w tem dużo smaku, dużo malarskości, ale własnej twarzy malarza nie widać. Zanadto beztroskie wrażenie sprawia malarstwo Gr. Za najbardziej wytrzymaną, dociągniętą i dojrzałą, uważam bezwzględnie „Martwą naturę Nr. 3", oznaczoną w katalogu numerem dwunastym.

Przy wszystkich moich zastrzeżeniach, muszę jednak stwierdzić, że Z. Grabowski jest malarzem na poziomie. (W. P.)

LISTY DO REDAKCJI

Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze 23 „Myśli Narodowej" ukazała się recenzja z Salonu wiosennego u Baryczków, w której autor zamieścił następującą wzmiankę: „Spółka M. Bylina i prof. Pruszkowski wystawiła dwie kompozycje historyczne, w katalogu figurujące pod nazwiskiem profesora, nie wiem dlaczego, bo dowcipna fama głosi, że Pruszkowski malował w niej... niebo. Żart żartem — obraz jest dobry". Jako jeden z wykonawców wspomnianego obrazu, pragnę sprostować oczywiste nieporozumienie. Obraz ten, podpisany obydwoma naszemi nazwiskami, malowaliśmy wspólnie na podstawie szkicu prof. Pruszkowskiego — wobec tego niniejszym stwierdzam, że pogłoski, rozsiewane przez „dowcipną famę", są nieuzasadnione.

Zechce Szanowny Pan Redaktor przyjąć wyrazy prawdziwego szacunku i poważania

MICHAŁ BYLINA

BŁĘDY DRUKU. W nr. 23 w artykule p. Machalskiego o orjentalistyce polskiej z początku w w. 17 mylnie złożono nazwisko tłumacza „Gulistanu". Jest nim Otwinowski. Na str. 292 w w. 35 tytuł przekładu Langego brzmi: „Nal i Damajanti".

W nr. 24 w artykule „Sprawa Prus Wschodnich", na str. 306, 2 szpalta, wiersz 24 od góry, powinno być, oczywiście, „o d e b r a n i e Niemcom Prus Wschodnich" nie zaś „o d d a n i e", jak mylnie, pacząc treść powyższego zdania, wydrukowano.

OFENSYWA

OKRUCHY

NAGRODA naukowa lwowska imienia Karola Szajnochy dostała się tym razem zaciekłemu i zażartemu partyjnikowi prof. Stanisławowi Zakrzewskiemu. Poprzednio nagrodę tą dostali p.p. Prohaska, Finkel, Abraham, uczeni nie wdający się wcale w czynne i zgiełkliwe życie polityczne. W erze walki z partyjnictwem nagrodę (7.500 zł.) dostał fanatyk partyjnicki o horyzontach myślowych kawiarnianego, lodomeryjskiego „*Zeitungsfressera*“ (bibułojada), który w naukowym dorobku ma wprawdzie jedną pracę poważną o „Bolesławie Chrobrym“, ze Lwowem jednak i jego dziejami nic wpólnego nie mającą. Nagroda ma posmak czysto koteryjny a groteskowy przez to, że sam *laureatus* należał też do ośmiogłowej *jury*, która elekta wybierać miała.

Profesor Zakrzewski należał ostatnio do tej kliki sanacyjnych serwilistów profesorskich, którzy w marcu w Warszawie zaaranżowali sobie zjazd, mający na celu spętanie wolności uniwersyteckiej i przekształcenie wyższych uczelni na falsefagotowskie jaczejki zamierającej ideologji marszałkowskiej. Do grupy tej weszły wszystkie miernoty i namiastki uczonych, które przedostały się „fuksem“ na katedry w tym momencie, kiedy na gwałt trzeba było kompletować wydziały i fakultety trzech uniwersytetów: warszawskiego, poznańskiego i wileńskiego i kiedy w braku laku wkręcał się i opłatek i na bezrybiu rak udawał rybę. Cały ten, mocno tandetą wrodzoną zalatujący materjał ludzki, z p.p. Handelsmanem i Ehrenkreutzem na czele, skonfederował się w Ligę Karjerowiczów, przeciwstawiających swój lisi serwilizm moralnemu autorytetowi tych uczonych serjo, którzy podpisali projekt przeciw ohydzie i zbrodni Brześcia. Wśród „stojących na platformie“ epigonów i naśladowców prussianizmu profesorskiego najwięcej w warszawskim „Zrębie“ hałasował i rozpuszczał paszczę kawiarniano-lodomeryjski, na *Press*'ach i *Blatt*'ach politycznie wyedukowany prof. Zakrzewski. Tensam warcholący uczony, w jubileuszowej księdze, wydawnictwie osławionego Marjanka Dąbrowskiego (Dziesięciolecie Rzeczypospolitej) zamieścił „rzut oka“, pogląd na dzieje Polski z ostatnich lat kilkunastu, który to rzut jest od a do zet partyjnickiem kłamstwem, pełnem brutalnych przekręcań, szalbierstw, zatajań, wykrętów, bez cienia nie już objektywizmu, ale normalnej uczciwości pisarskiej nie już uczonego, ale choćby tylko normalnie inteligentnego publicysty.

W jednym roku nagroda literacka miasta Lwowa — „wiernemu Wiedeńczykowi“ Nikorowiczowi a nagroda naukowa *ultra-Krakauer*'owi (z ducha!) Zakrzewskiemu—to już cokolwiek za dużo „nieprawości“ partyjnickiej. Wśród „Stonogów“ *verum gaudium*, ale wśród Lwowian: nie.

Ot ciężko by było dożyć na starcze lata jeszcze i tego smętnego zjawiska, że wobec masowej emigracji z Lwi Grodu ówczesnych ludzi, „Lwowian z ducha“, Lwowczyków, Gaskończyków Polski... Mohorcie gniazdo opanowałyby z ducha Krakauery, Oleandrusy, Kadety Kadena, „Kapelnery“, Skrofulaki, Limfatyki, Neostańczyki, Kohnserwatywki i stojący zawsze i każdorazowo na takiej „platformie“, która ich najpewniej i najszybciej do „błyszczącej karjery“ dowiezie.

*

Czytaliśmy niedawno w jednej z gazet następującą notatkę...

Kolegjum heraldyczne.

„Odbyło się walne zgromadzenie kolegjum heraldycznego, powstałego jeszcze w 1929 roku, ale dopiero teraz ukonstytuowanego ostatecznie, jako statutowe stowarzyszenie. Po zagajeniu obrad przez prezesa, Zdzisława ks. Lubomirskiego, sprawozdanie z dotychczasowej działalności Stowarzyszenia złożył jeneralny sekretarz kolegjum, Ludgard hr. Grocholski. Następnie dokonano wyborów władz Stowarzyszenia. Prezesem kolegjum wybrano Zdzisława ks. Lubomirskiego; członkami komitetu prezydjalnego wybrani są: p.p. Zbigniew Belina-Prażmowski, kawaler maltański i w. komandor jerozolimski, Ludgard hr. Grocholski, komandor jerozolimski, Zdzisław hr. Grocholski, komandor jerozolimski, Adam hr. de Montrésor, Franciszek ks. Radziwiłł i Janusz, Witold Alexandrowicz; członkami komisji rewizyjnej: p.p. Kalikst—hr. Dunin-Borkowski, Jan Maleszewski i Stanisław Lipkowski, kawaler maltański“.

W zasadzie niema nic do nadmienienia *à propos* tej notatki, jak tylko to, że tytuły książęce w Polsce nadawane bywały najczęściej ze strony regentów i suwerenów germańskich. Skąd może i to ciążenie ku germanizmowi *tempore belli*, jakie znalazło tak mocny wdzięcznością wyraz w polityce książąt Radziwiłłów t. j. Franciszka (nadal wiążącemi się z *Kohlen-baron*'ami górno-śląskiemi) i Janusza (protestującego przeciw deklaracji Ententy) oraz w zygzatowatej linji politycznej ks. Zdzisława Lubomirskiego, obecnie fanatycznego entuzjasty t. zw. Sanacji.

Ponieważ zaś polityka tych książąt z okresu wojny tak fatalnym skończyła się fiaskiem, z tego powodu i ich obecnej działalności heraldycznej nie uważamy za dobre *omen*. Studjum heraldyczne, nie tyle dziś może aktualne, nie pozbawione jest atoli pewnego wdzięku, choćby... przekornego. Dobrzeby było atoli studjować, oprócz tego, także szerzej pojętą naukę historji oraz płynące z niej doświadczenia...

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

„*L'Ere Nouvelle*“ przypomniała podczas wyborów prezydenta, że kandydat Doumer w r. 1906 powiedział do wyborców:

„Masonerja stała się i pozostała koterją i kastą, z której zrodził się fatalny ustrój protekcji, inwigilacji, faworytyzmu i haseł międzynarodowych. A takie poglądy nigdy nie były mojemi zasadami i mojemi ideami. W styczniu 1904 r. zerwałem wszystkie stosunki z ludźmi, którzy pracowali nad zniszczeniem patrjotyzmu, którzy podważali naszą obronę narodową. Odzyskałem swobodę, by być kandydatem na przewodniczącego Izby, jak i na prezydenta republiki. Zerwałem z masonerją, aby skończyć z jej klientelą bez czci“.

Dziennik masoński przypuszczał, że tem przypomieniem skompromituje Doumera i udaremni jego wybór. Tymczasem — czasy się zmieniają! — może właśnie dlatego Francja przeniosła Doumera ponad Brianda, który dążył do porozumienia z Niemcami. Niemcy odczuli głęboko ten wybór, jako swoją klęskę, Polacy zaś z ulgą wiadomość tą przyjęli.

*

Aliści (są Polacy i Polacy) w „Expressie Porannym“ radykalny sanator p. Hołówko, a za nim „Tygodnik Illustrowany“ rozdzierają szaty: „Jakże mogła—zapytują — stać się Francji taka k r z y w d a ?“ Przyczynę „Tyg. Illustr.“ wraz z socjalistami i masonerją widzi w tem, że wybory prezydenta dokonywane są nie w drodze plebiscytu, lecz przez zgromadzenie narodowe.

Stąd wyciągają naukę dla Polski: tylko plebiscyt! Wyczuć można przez skórę, że opinja tak bezwzględnie nie licząca się z interesem Polski i Francji, mogła być wypowiedziana w „Tyg. Illustr.“ przez agitatora międzynarodówki, sprytnie podrzuconego naiwnej redakcji. Z jakiej racji przytem prasa polska („reprezentatywny“ „Tygodnik“!) pozwala sobie na impertynencje wobec nowego prezydenta Francji? Doumer ma być krzywdą Francji!

OD WYDAWNICTWA

Redakcja i Administracja „Myśli Narodowej“ zwracają się z prośbą do przyjaciół pisma (za przyjaciela chcemy uważać każdego prenumeratora), aby raczyli uregulować zaległe za prenumeratę należności.

Z drobnych sum, które każdemu zosobna mogą się wydawać mało znaczącemi, wzrasta dla wydawnictwa kłopotliwy ciężar. „Myśl Narodowa“ jest ideową fundacją grona osób, które ją prenumerują i zaciągają przez to wobec pisma pewne moralne zobowiązanie. Ufamy przeto, że prośba nasza odniesie bezzwłoczny skutek.

Ponieważ od półrocza zapotrzebowanie na pismo wzrośnie, prosimy o wczesne zamówienia i opłacenie prenumeraty. Ci zaś pp. prenumeratorzy, którzy na czas wakacyj zmieniają miejsce pobytu, zechcą powiadomić o zmianie adresu administrację, oznaczając zawsze dawną pocztę swoją i termin powrotu.

Do numeru niniejszego dołączamy czek na P. K. O. nr. 3105.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57! PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.